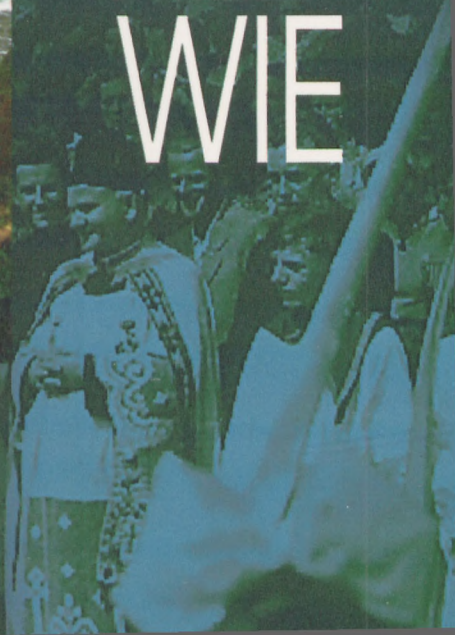


MARCIN
PLIŃSKI

Odpusty W SWA- RZE- WIE





*Odpusty
w Swarzewie*



q

Marcin Pliński

Odpusty w Swarzewie



WYDAWNICTWO
BERNARDINUM

2007



© Copyright by Marcin Pliński, 2007

Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o.
ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel. 058 536 17 57, fax 058 536 17 26
e-mail: bernardinum@bernardinum.com.pl
www.bernardinum.com.pl

Druk i oprawa:
Drukarnia Wydawnictwa „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin

ISBN 978- 83-7380-466-1

E₀ 421511 / 16

15

Bryczka podjechała pod dworzec.

– Pyrrrr – krzyknął głośno woźnica i zatrzymał konia na wprost furtki prowadzącej bezpośrednio na perony.

– Bjô-le senie, zazdrze tam na sztrekę czy ten cuch ju nie jedze tam od Pucka – powiedział ojciec do Franka.

– Jo tatku.

Z siedzenia obok woźnicy sprężystym ruchem zeskoczył kilkunastoletni chłopak i pobiegł w kierunku torów. Na peronie stało niewiele osób oczekujących na przyjazd pociągu. Był przyjemny lipcowy wieczór. Chmur na niebie nie było a słońce zdecydowanie przechyliło się już ku zachodowi podświetlając odległe zabudowania Gnieźdżewa. Za rozległymi łanami zboża wyraźnie rysowała się bryła wiatraka usytuowanego niedaleko przy szosie do Łebcza.

Z budynku stacyjnego wyszedł mężczyzna ubrany w granatowe spodnie i białą koszulę z krótkim

rękawem. Pospiesznie wkładając na głowę czerwoną czapkę dyżurnego ruchu podszedł do stojaka na środku placu dworcowego. Sięgnął po korbkę i rozpoczął nią kręcić. Bariery szlabanu na szosie z Gnieźdżewa do Swarzewa zaczęły wolno opadać zamykając przejazd. Do szosy przylegały stacyjne zabudowania gospodarcze z niedużym placem ogrodzonym siatką drucianą. Używał go zawiadowca stacji. Trzymał tam drobny inwentarz. Do budynku gospodarczego przylegały ogólnodostępne toalety, z których mogli korzystać podróżni. Zabudowania zasłaniały widok na szosę. Wymagało to od dyżurnego ruchu za każdym razem, gdy opuszczał bariery, szczególnej uwagi, ponieważ trudno było zorientować się, czy akurat ktoś nie podjeżdża do przejazdu kolejowego. Na szczęście ruch kołowy o tej porze był znikomy. Miarowe ruchy korbki powodowały stopniowe opadanie barierek i charakterystyczne dzwonienie dzwonka ostrzegawczego. Zwykle wówczas na zamkniętej szosie po jednej i drugiej stronie szlabanu stawało kilka furmanek, a niekiedy trafiał się jakiś samochód.

Tymczasem od strony Łebcza, dając znać o sobie gwizdem, wjeżdżał na stację pociąg z Krokowej nazywany przez miejscowych „krokoszką”. Na stację wtoczyła się lokomotywa ciągnąc za sobą trzy wagony osobowe oraz kilkanaście wagonów towarowych. Na trasie tej jeździły jeszcze stare,

przedwojenne wagony. Po obu stronach przejścia w boksach dla czterech osób były naprzeciwko siebie ustawione ławki. Każdy wagon był przedzielony na dwie połowy przegrodą z drzwiami skrzydłowymi. W drugiej klasie siedzenia były drewniane. Siedzenia w pierwszej klasie były wyściełane czerwonym pluszem. Chętnych na jazdę pierwszą klasą było niewiele i dlatego tylko jeden z wagonów miał w połowie wydzieloną jedynekę. Wyjścia z wagonu były dwa, z jednego i drugiego końca. Wychodziło się przez nie na zadaszoną platformę i schody ogrodzone barierkami. Między wagonami można było się przemieszczać po opuszczonych klapach przysłaniających zaczepy łączące wagony osobowe. Wagony towarowe też pewnie pamiętały dawne czasy. Linia ta została zbudowana pod koniec dziewiętnastego wieku przez kilku właścicieli ziemskich, przede wszystkim dla przewozu towarów. Również teraz wykorzystywana była ona zasadniczo dla tych celów. Dlatego też wagony towarowe sięgały daleko poza peron. Tyle ich było. Kilka z nich to niezadaszone, kontenerowe skrzynki z klapami przesuwными. W nich przewożono zwykle węgiel, teraz jechały puste. Były też platformy, na których leżały długie kłody równo ociosanych pni dorodnych, starych, grubych drzew mocno przytroczonych stalowymi linami.

Gdy pociąg zatrzymał się na stacji, kilka osób zeszło po schodach z podestów umieszczonych

na końcu wagonów osobowych. Niektórzy z nich kierowali się ku jednemu przejściu dla pasażerów. Było to specjalne obniżenie peronu, zaś wzdłuż torów ułożone były drewniane podkłady, aby wyrównać poziom szyn. Mężczyźni na ogół nie korzystali z tego specjalnego przejścia i nie bacząc na niewygody, zwykle przeskakiwali przez tory skracając sobie drogę. Dwóch młodych mężczyzn pozostało na peronie drugim, sądząc że stąd będzie im łatwiej dostać się do pociągu z Pucka, który za chwilę miał wjechać na stację.

Z poczekalni dworcowej wychodziło kilka osób przepychając się w ciasnych drzwiach wyjściowych. Byli to podróżni, którzy czekali na przyjazd pociągu na Hel. Zamykanie szlabanu było znakiem, że już niebawem pociąg wjedzie na stację.

– Pusceta doch mje. Může jô již sforteja kupic biljet – powiedziała nieco podnosząc głos kobieta we wzorzystej chustce na głowie zawiązanej do tyłu. Usiłowała ona dostać się do środka, do poczekalni.

Będąc już w pustej sali podbiegła do kasy biletowej i przez szybę okienka zaglądała do pomieszczeń dyżurnego ruchu. Niestety nie było tam nikogo. Stała jeszcze przez chwilę przed okienkiem, a potem szybko wybiegła na peron.

– Jô be chcala kupic biljet do Wieldzi Wsë – zwróciła się do dyżurnego ruchu, który jeszcze ciągle stał przy stojaku z korbą.

– Jô zaresći przinda tam do kasë, niech le ten zuch od Pucka nôprzed tu wjedzë – odpowiedział kiwając głową w kierunku poczekalni, aby tam poszła i cierpliwie zaczekała.

Na pierwszym peronie stała już spora grupa ludzi czekających na przesiadkę. Byli to pasażerowie z „krokoszki”. Krótka zdawkowa wymiana słów między kilkoma mężczyznami w średnim wieku uświadomiła pozostałym, że mogą być trudności z dostaniem się do pociągu na Hel, bo o tej porze latem jest on zawsze bardzo przepelniony. Na początku miesiąca i również w jego połowie letnicy z całej Polski zjeżdżali na Półwysep Helski.

Wreszcie rozległ się ostry gwizd ostrzegawczy lokomotywy zbliżającej się do przejazdu. Za chwilę pociąg wolno wtoczył się na pierwszy peron, a lokomotywa podciągnęła wagony daleko od budynku stacji, tak aby ostatni wagon stanął za specjalnie wy-modelowanym przejściem przez tory dla pieszych. Pociąg zatrzymał się i stopniowo zaczęły się otwierać drzwi wagonów. Konduktor, który szybko zdążył wyskoczyć z pierwszego wagonu, stanął na peronie i donośnym głosem krzyknął kilkakrotnie: – Swarzewo! Stacja Swarzewo!

Od okienka informacji kolejowej na dworcu w Gdyni odszedł starszy pan ubrany w lekki płaszcz. Na głowie miał kapelusz, a w ręku niósł niedużą walizkę. Szedł w kierunku wyjścia na perony, torując sobie z trudnością przejście w sporym tłumie podróżnych. Wreszcie dotarł do wyjścia na ostatni peron, skąd miał odjeżdżać pociąg na Hel. Wyszedł na powierzchnię, rozejrzał się i po chwili dopiero zauważył pociąg, który stał w dość dużej odległości od wyjścia. W tym samym kierunku szli również inni podróżni. Były to przeważnie rodziny z dziećmi, zwykle obarczeni okazałym bagażem. Wreszcie, już nieco zmęczony sporą odległością jaką pokonał oraz ciężarem niesionej walizki, dotarł do wagonu. Chcąc się upewnić, czy to właściwy pociąg, zwrócił się z zapytaniem do podchodzącej również do wagonu kobiety.

– Przepraszam najmocniej panią, mogłaby mi pani powiedzieć, czy tym pociągiem dojadę do Swarzewa? Widzi pani, ja po raz pierwszy tam jadę i chciałbym się upewnić, żeby przez przypadek nie pojechać gdzie indziej.

– Tak, to ten pociąg, zresztą doskonale się składa, my również jedziemy do Swarzewa – odpowiedział mężczyzna, który szedł tuż za swoją żoną, niosąc dużą walizkę. Za nim podążała dwójka nastolatków – chłopiec i dziewczyna. Były to ich dzieci.

Mężczyzna otworzył jedne z kilku bocznych drzwi wagonu i wszyscy kolejno wsiedli do przedziału. Mieli szczęście, nie było tłoczno. Siedziała tam jedynie para młodych ludzi na jednej z ławek. Mężczyzna najpierw włożył na półkę swoją walizę, następnie pomógł starszemu panu włożyć jego bagaż; również bagaż niesiony przez dzieci powędrował na półkę. Po tej krótkiej krzątaninie rodzinka zajęła miejsca po jednej stronie przedziału. Dzieci bliżej okna. Starszy pan wybrał miejsce obok siedzącej już wcześniej dwójki pasażerów.

– Bardzo państwo mili – powiedział starszy pan – nie wiem czy bez państwa pomocy sam bym sobie poradził z tą przesiadką. Jestem już sporo godzin w podróży. Wyjechałem wczoraj wieczorem z Łodzi. Co prawda byłem już rano tu na miejscu i mógłbym być pojechać zaraz dalej. Z pewnością były jakieś połączenia przedpołudniowe, ale zdecydowałem się pojechać do Gdańska. Byłem tam przed wojną, więc chciałem zobaczyć, jak wygląda on teraz. Wyobraźcie sobie państwo, to co zobaczyłem było dla mnie szokiem. Nie wiem jak to wyrazić. Ale, przepraszam... pewnie państwa nudzę, proszę mi wybaczyć, jednak cały czas jestem pod wrażeniem ogromu zniszczeń. Strasznie obesзли się Rosjanie z Gdańskiem. Jak można było tak wszystko wypalić, przecież stare miasto to było prawdziwe cacko.

– Jak to, przecież to Niemcy wycofując się zniszczyli Gdańsk – oburzyła się kobieta.

– Przepraszam państwa bardzo, że ja o tym wspominałem.

– Nic nie szkodzi – powiedział mężczyzna.
– A skąd pan wie, że to Rosjanie?

– Wolałbym, abyśmy zapomnieli o tym, co powiedziałem – spojrzał wymownie na boki. – Jestem historykiem. Uczyłem przed wojną historii w jednym z gimnazjów w Łodzi.

– Ja też uczę historii w szkole – obruszyła się kobieta.

– Bardzo mi miło, że spotkałem koleżankę po fachu. Jednakże różnica wieku upoważnia mnie do stwierdzenia, że mamy różne spojrzenia na te same fakty historyczne.

Rozmowa dalej jakoś nie kleiła się. Pociąg niebawem ruszył ze stacji. Już po kilku minutach jazdy pojawił się inny krajobraz miasta. Starszy pan patrzył przez okno na nieduże parterowe domki z płaskim, papą krytym dachem. Zabudowa taka rozciągała się daleko w kierunku portu i stoczni. Był to Grabówek.

– To tutaj osiedlali się robotnicy zjeżdżający z całej Polski przed wojną do pracy w Gdyni – powiedział starszy pan, który znał Gdynię sprzed wojny. To się nazywało Meksyk. Ludzie budowali sobie schronienie na miarę swoich możliwości. Zabudowa tu była całkiem dzika.

– Czyżby to było właśnie to drugie, gorsze oblicze wspaniałej przedwojennej Gdyni? – zadziwił się mężczyzna.

Taki krajobraz rozciągał się w kierunku na Obłęż. Natomiast wzdłuż trasy przejazdowej w Chylonii stawiano właśnie bloki mieszkalne. Było to typowo powojenne masowe budownictwo pracownicze, z przeznaczeniem dla ludzi zatrudniających się w stoczni i porcie w Gdyni.

W Redzie wsiadło sporo osób i w pociągu zrobiło się tłoczno. Ludzie stali nie tylko w przejściu pod oknami, ale również między ławkami, uniemożliwiając jakikolwiek swobodny ruch osobom siedzącym. Byli to przeważnie podróżni, którzy wracali do domu z Wejherowa. Wówczas do Wejherowa jeździło się nie tylko po zakupy na rynek, ale również w różnych innych sprawach. Było to w pewnym sensie przyzwyczajenie z okresu, kiedy to właśnie w Wejherowie mieściła się siedziba władz powiatu morskiego.

Po nieco dłuższym postoju na stacji w Redzie pociąg odjechał, kierując się nieco na prawo. Tory prowadzące do Wejherowa oddalały się, pozostając u podnóża wzgórz. Ostatnim akcentem wielkomijskiego krajobrazu była fabryka białych pustaków budowlanych. A potem pociąg wjechał w rozległą równinę pól uprawnych, rozciągających się po prawej stronie. Z przeciwnej zaś strony wylaniały się nieduże wzniesienia porośnięte lasem.

– A wie pan – zwróciła się kobieta do starszego pana, gdy dojeżdżali do Żelistrzewa – byłam w tych okolicach w 38 roku jako młoda dziewczyna na obozie harcerskim. Piękna okolica. Ta wieś nazywała się Osłonino. Obóz był rozbity na polanie nad samym morzem. Okolice wspaniała. W kierunku Gdyni rozciągały się płaskie mokradła. Gdzieś w oddali, nad samym morzem, w otoczeniu trzech wielkich wierzb, stała stara chata rybacka. A z drugiej strony brzeg był urwisty, porośnięty gęstym lasem. Jak dziś pamiętam aleję lipową z bardzo starymi drzewami prowadzącą prosto do zamku w Rzucewie. Często tam chodziliśmy. Lipy te bodajże miał sadzić sam król Jan Sobieski. Tam właśnie w folwarku wiele czasu spędzała Marysieńka. Widzi pan, ja też mam wspaniałe wspomnienia przedwojenne z tych stron. Ach, jakże urocze były ogniska nad samym morzem, rozpalane dosłownie nad brzegiem.

– Coś ty się tak rozmarzyła? – zdziwił się mąż.
– Czy tu nie zostawiłaś trochę młodzieńczego serca?

Również ożywiły się dzieci, które dotychczas bezmyślnie patrzyły przez okno. Szczególnie córka dość natarczywie domagała się.

– Opowiedz mamie, opowiedz o swojej letniskowej miłości. To może być bardzo interesujące.

Dalszą rozmowę przerwała krzątająca podróżnych przygotowujących się do wysiadania w Pucku. Wreszcie pociąg stanął na peronie, spora część lu-

dzi wysiadła i zrobiło się nawet tak swobodnie, że pojawiły się wolne miejsca siedzące. Z przedziału wysiadła również para młodych ludzi i ławka obok starszego pana była cała wolna. Jednakże to uczucie niby komfortu szybko opuściło podróżnych. Zobaczyli, że na peronie tłoczy się tłum ludzi chętnych do wsiadania do ich pociągu.

– Już niedługo – powiedziała kobieta. – Na następnej stacji wysiadamy.

Po chwili zrobiło się znowu tłoczno w wagonie, a wszystkie wolne miejsca zostały szybko zajęte. Postój w Pucku trwał kilkanaście minut. W międzyczasie wjechał na tor obok pociąg z przeciwnego kierunku. Zaledwie parę osób wysiadło, a jeszcze mniej wsiadło i po chwili postoju odjechał on w kierunku Redy. Zrobiło się całkiem pusto na peronie. Maszynista wychylony z okna lokomotywy dostrzegł sygnał odjazdu dany przez dyżurnego ruchu. Pociąg z wolna ruszył ze stacji. Minął ulicę zamkniętą szlabanami i wjechał między zabudowania. Przed następnym przejazdem mijał z prawej strony czerwony duży budynek o architekturze koszarowej. W otwartych oknach suszyły się rozwieszane stroje kąpielowe i ręczniki. Widać, że pokoje zajęte były przez młodzież kolonijną. Z pewnością musi to być budynek jakiejś szkoły, przeszło przez myśl starszemu panu.

– Za chwilę zobaczymy wspaniały widok na morze – powiedziała kobieta, zwracając się do starszego pana.

Pociąg wyjechał z niedużego zagajnika na płaską dolinę porośniętą trzciniowiskiem. Z prawej strony odstaniała się tafla zatoki, a w oddali daleko widać było zielony pas łąd porośniętego lasem. Widoczność tego dnia była wspaniała.

– Widzi pan – zwrócił się mężczyzna do starszego pana – ten łąd na wprost to jest półwysep, a z lewej strony na wysokim brzegu zabudowania i kościół ze strzelistą wieżą, to jest właśnie Swarzewo. Tam dalej w głębi widać Władysławowo z charakterystyczną wieżą Domu Rybaka. Z tym Domem Rybaka, to dopiero była heca. Miejscowi bardzo chcieli budować kościół. Państwo nie dało zezwolenia. Za to wybudowano coś jakby kościół; tylko że tam modlić się nie można. Jest tam restauracja, bar i nawet nie wiem dokładnie co ponadto. Wieczorami odbywają się w tej restauracji szykowne dansingi. Nasi znajomi, którzy byli w ubiegłym roku na wczasach w Swarzewie wspominali, że bawili się tam raz czy dwa, a młodzież chodziła do Domu Rybaka na popołudniowe potańcówki.

– A, przepraszam, mówił pan, że były jakieś przedziwne sprawy z budową tego budynku.

– Tak, tak – przytaknął, jakby był znawcą w całej tej sprawie. – Wyobraź pan sobie, że z Warszawy szły strasznie duże pieniądze na tę budowę. Przyjeżdżał tu nawet osobiście minister Popiel i nadzorował roboty.

– No, no – zadziwił się starszy pan. – To aż z tak wysokiego szczebla było zainteresowanie.

– Oczywiście. Chodziło o to, aby był to pomnik komunizmu. Po co ludziom kościoły, uważała władza. Ale ludzie i tak robili swoje. Rybacy to twardy lud. Dopięli swego. W Hallerowie jeszcze przed wojną była zbudowana nieduża kaplica; służyła ona przede wszystkim wojsku, a miejscowi z Wielkiej Wsi, tak jak dawniej, chodzili do kościoła do Swarzewa. Z tej kaplicy zrobiono prezbiterium dla dużego kościoła. Ma to być najbardziej nowoczesny kościół w Polsce. Prace budowlane są bodajże bardzo zaawansowane. Trzeba koniecznie to obejrzeć.

Widoki za oknem się zmieniły. Po obu stronach rozciągały się pola uprawne obsiane żytem i pszenicą. Łany były już żółte, niebawem gotowe do żniw. Widok na morze zasłaniały lekkie wzgórza klifowe gęsto porośnięte zaroślami. Wzrok starszego pana pobiegł w dal za piaszczystym pasem polnej drogi ciągnącej się u podnóża zarośli nad morzem i zatrzymał się na zabudowaniach.

– Czy te tam właśnie w oddali budynki, to Swarzewo? – zapytał się swoich znajomych.

– Tak – odparł mężczyzna. – Zaraz wjedziemy na stację w Swarzewie. Stacja od samej miejscowości jest znacznie bardziej oddalona niż Gnieźdzewo. To ta wieś z zabudowaniami tuż, tuż widocznymi



po lewej stronie. Niech się pan nie martwi, zwykle jest na stacji jakaś bryczka lub furmanka. Pomożemy panu dotrzeć na miejsce.

– A skąd jest pan tak dokładnie zorientowany o całej topografii i udogodnieniach, jakie są oferowane w Swarzewie, skoro, jak mi nie mam, jedziecie państwo tutaj po raz pierwszy – zdziwił się starszy pan.

– Namówili nas nasi bliscy krewni na wyjazd do Swarzewa. Byli oni tu dwa, albo nawet trzy lata pod rząd na wczasach. A poza tym rodzina tego właśnie naszego kuzyna przyjeżdżała tu już przed wojną. To od nich ta wiedza o Swarzewie i okolicy. Oni w ubiegłym roku zarezerwowali nam mieszkanie. Twierdzą, że w dobrym miejscu. Stamtąd łatwo ma się schodzić wprost nad morze.

= = =

– Bardzo proszę, można wejść – powiedział starszy pan, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Stał przy oknie, odwrócony plecami do drzwi, obserwując uważnie, co dzieje się na ulicy.

Do pokoju weszła kobieta około czterdziestki w lekkiej sukience przewiązanej białym fartuszkim. Wniosła na tacy śniadanie.

– Dzień dobry, panie profesorze. Proszę powiedzieć, jak spało się na nowym miejscu?

– Oczywiście wyśmienicie. Bałem się, że zmęczenie po podróży nie pozwoli mi wyciszyć się odpowiednio przed snem. Tyle przecież wrażeń miałem wczoraj. Jednak dość szybko zasnąłem. W domu budzę się zwykle o szóstej. Myślałem, że tu na wczasach trochę dłużej pościę. Niestety, też się obudziłem tak wcześnie. Widać, siła przyzwyczajenia. A poza tym zainteresowało mnie to, co dzieje się na ulicy. Czy pani byłaby łaskawa, pani Anno, powiedzieć mi co ci ludzie robią?

Kładąc na stole serwetę, a na niej sztucę, dalej chleb, masło, jajko na miękko, dżem i herbatę w szklance wyjaśniła panu profesorowi:

– Jutro od popołudnia aż do końca niedzieli w Swarzewie będzie bardzo dużo ludzi w związku z odpustem Matki Boskiej Szkaplerznej. To odpust dla rybaków, którzy pielgrzymują tu z całego półwyspu. A to, co dzieje się teraz na ulicy przed domem, to przygotowania do jarmarku. Sklepikarze budują swoje stragany. Niektórzy z nich przyjechali już w połowie tygodnia ze swoimi towarami. Jest taka kobieta z Gdyni, która corocznie przechowuje przez kilka dni swoje kartony w naszej sieni. To przeważnie pudła ze słodyczami.

– Bardzo to wszystko interesujące – zadziwił się pan profesor. – Ja nigdy wcześniej nie miałem okazji czegoś takiego oglądać. Jest to fascynujące. Proszę sobie wyobrazić, od godziny stoję tu przed oknem

i nie mogę się napatrzeć. Widzi pani, znoszą tu takie rupiecie. Jakieś żerdzie, boki wozów. Co oni z tego będą robić?

– Zobacz pan, będzie tu kolorowo i gwarno. A na razie proszę sięść do śniadania, herbata i jajko stygną. Smacznego. Gdyby pan sobie czegoś życzył, to proszę mi dać znać, będę w kuchni.

Pan Henryk zasiadł do stołu. Ze smakiem zjadł śniadanie. Szczególnie smakowało mu jajko. Pomyślał sobie, pewnie było prosto z kurnika. Skończył jedzenie. Ręce mu trochę kleiły się od dżemu, więc umył je w miednicy stojącej na umywalce pod ścianą. Wycierając je ręcznikiem cały czas patrzył w okno i dziwił się temu, co dzieje się na ulicy.

= = =

– Hej, chłopaki – krzyknął niedużej postury mężczyzna, stojący pod płotem na wprost okna, w którym widać było pana profesora obserwującego ulicę. Dwóch nastolatków idących ulicą obejrzało się w kierunku, skąd dochodził głos. – Tak, wy. Potrzebuję blatu na mój stół. Idźcie do któregoś z gospodarzy i przynieście mi bok od wozu. Dostaniecie po tytce cukierków. – Chłopcy popatrzeni na siebie. Kiwnęli głową i poszli. Na odchodnym krzyknął im jeszcze mężczyzna, że u najbliższego gospodarza nic już nie ma. Wszystko jest wzięte. Muszą iść dalej, żeby coś znaleźć.

– Ach tak, od Konkola oni ju wszetci temrôczy weszabrowale – powiedział Franek. – Na, te ma muszima idz, Tonku, do mojego tatci. Mõže tam jisz co ostalo.

Skierowali więc swoje kroki w kierunku domu Franka. Było to obszerne zabudowanie. Dom mieszkalny z czerwonej cegły, do którego wchodziło się z podwórza. Było także główne szerokie wejście po drugiej stronie domu od ulicy, ale z niego korzystano rzadko. Na obszernym prostokątnym podwórku zamkniętym prawie w całości zabudowaniami stała studnia z kołowrotem, a obok zwisało na łańcuchu wiadro. Niedaleko studni gromadziło się stado gęsi wokół pustego koryta i dwóch garnków z wodą. Rosły gąsior, obrońca stada, zauważywszy chłopaków podbiegł w ich kierunku z wyciągniętą szyją, ostro sycząc.

– Pódzesz te diablinie – krzyczał Antoś wymachując nogą, jakby chciał gąsiora kopnąć w dziób, co jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Po tej krótkiej próbie sił Antoś wycofał się z utarczki, bo ptaszysko było wściekle natarczywe. Stał więc spokojnie przed domem pod drzwiami, gdy tymczasem Franek w środku pertraktował ze swoim ojcem możliwość zarobienia torebki cukierków. Po krótkiej chwili wypadł zadowolony na podwórko.

– Wszetko je załatwioné. Poj sa! Bierzeme ten krotczy temrõk od teło leza kolé stodolé.

– Żebe mie to wszetko w niedzela po pólniu belo nazad – krzyknął ojciec od drzwi na uradowanych chłopaków, którzy już wynosili z podwórka bok wozu.

Były to cztery deski odpowiednio pozbijane łączeniami z jednej strony, druga zaś strona była płaska i doskonale nadawała się na blat do straganu. Antoś szedł z przodu podtrzymując rękoma za sobą krawędź blatu, zaś Franek z tyłu trzymając blat przed sobą. Przemieszczali się z tym ciężarem całkiem sprawnie. Dopiero, gdy znaleźli się w rejonie przygotowań do jarmarku szło im gorzej. Natykali się na straganiarzy i ciekawskich przechodniów. Antoś niemal potknął się o stojącą do nich tyłem dziewczynę. Zirytowana odwróciła się zamasyście i spojrzała na niego z wyrzutem. Gdy jej wzrok natknął się na Franka, lekko się uśmiechnęła. Rozpoznała w nim chłopaka, który ze swym ojcem wiozł jej rodzinę z dworca do wsi, gdy wczoraj przyjechali do Swarzewa. Franek zauważywszy to, lekko skinął głową. Tych porozumiewawczych gestów nie rozpoznał Antoś.

Chłopcy zanieśli swój bagaż na miejsce. Uradowany straganiarz bardzo im podziękował, dając każdemu obiecaną torebkę cukierków. Chłopcy zmęczeni, ale jednak zadowoleni z otrzymanych słodczy odeszli ulicą w kierunku kościoła. Tam krzątania była już mniejsza, był to odcinek głównej ulicy. Nie stawiano tu straganów, bo przylegał on do otwartej

przeestrzeni placu przykościelnego. Poszli dalej, żeby zobaczyć, czy ktoś nie stawia straganu koło sklepu, który mieścił się naprzeciwko budynku szkoły. Ze sklepu akurat wychodziła znajoma dziewczyna. Nie zauważyła ich. Franek trącił w łokieć Antosia.

– Zdrze le, to je to samo dzewcza co te chcôł przewróceć témroka.

– Jo, te mosz recht – odparł Antoś – ale te doch jes uzdrzewny. – Po chwili dodał – zdrze le, ale to je szekôwno szteka.

Dziewczyna szła w ich kierunku. Była nieco starsza od nich. Miała piętnaście a może szesnaście lat. Ubrana była w lekką sukienkę do kolan z niedużym dekoltem, pod którym wyraźnie zarysowane były młode piersi. Nogi miała zgrabne, choć trochę grube. Twarz uśmiechnięta, wesoła, z czarnymi figlarnymi oczami. Zaczesała była w koński ogon. Chłopcy kierowali się prosto na nią.

– Chcemy cię przeprosić za tego szturchańca przy straganach – powiedział Antoś.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała. – Gdybyście mnie mocniej trącili pewnie bym się przewróciła, a to dopiero mogłoby być zabawne – roześmiała się w głos ukazując piękne, równe białe zęby.

– Może poczęstujesz się cukierkiem – powiedział Franek i wyciągnął z kieszeni spodni torebkę z cukierkami, otworzył ją i poczęstował dziewczynę. Dziewczyna wzięła jedną landrynkę z torebki, wło-

żyła ją do ust. Chłopcy również wzięli po cukierku. Stali tak przez chwilę z cukierkami w ustach.

– Ja muszę już iść – powiedziała dziewczyna odwracając się. – Pewnie się jeszcze zobaczymy. Nazywam się Dorotka. A wy?

– Ja Franek. A to jest Antoś – krzyknął za oddalającą się dziewczyną.

= = =

Ksiądz proboszcz stał oparty plecami o kredens, w którym mieściły się szaty liturgiczne. Był już ubrany w komżę i kapę. Mimo iż na jego twarzy rysowało się zmęczenie, był zadowolony, że odpust się odbywa. Bez zgody odpowiednich służb państwowych nie mógł nawet ogłosić programu odpustu. Również na uczestnictwo w odpuście musiały uzyskać zgodę parafie, skąd szły pielgrzymki. Zwlekanie z decyzjami było formą nękania. Chodziło o to, aby ograniczać uczestnictwo w odpuście. Reakcja ludzi była akurat odwrotna. Im większe były restrykcje, tym więcej było chętnych, aby pójść do Swarzewa. Teraz w zakrystii czekano na sygnał, aby wyruszyć na powitanie pielgrzymów.

Była sobota, przyjemne letnie wczesne popołudnie. Od ponad tygodnia nie spadła ani jedna kropla deszczu. Lekkie powiewy wiatru unosiły tumany pyłu znad piaszczystej drogi, którą zdążali pielgrzymi. Ci,

co wyruszyli z Jastarni, byli już mocno utrudzeni upa-
łem. Wyszli przecież wcześniej z rana. A pielgrzymi
z Helu jeszcze wcześniej wyjechali pociągiem, żeby
już z Jastarni iść razem. Pątnikom z Helu nie wolno
było iść pieszo przez tereny wojskowe. W Wielkiej
Wsi dołączyli do nich pielgrzymi z Władysławowa
i teraz to oni nadawali tempo marszu. Musieli prze-
cież zdążyć na wyznaczoną godzinę uroczystego
powitania przed cudowną kapliczką nad morzem
w Swarzewie. Intonowano więc takie pieśni, które
zachęcały do szybkiego kroku. Od czasu do czasu
przygrywała orkiestra dęta z Jastarni i wówczas już
nogi same szły do przodu. Pielgrzymi z każdej parafii
trzymali się razem i tworzyli przez to zwartą grupę,
która w żargonie pielgrzymkowym zwana była
kompanią. Na czele każdej takiej kompanii niesiono
krzyż, dalej dwie lub trzy pary chorągwi, potem dwa
proporce i feretron – symbole parafii. Zwykle pod-
czas przemarszu wszystkie te sakralne przedmioty
były zabezpieczane w specjalne pokrowce na wypa-
dek deszczu, a niekiedy wiezione na furmance lub
niesione przez zmienników. Szczególnie feretrony,
zwane przez miejscowych „obrazami”, znajdowały
się teraz pod opieką mężczyzn, gdyż niesienie ich
na dłuższe dystanse wymagało niezłej krzepy. Nor-
malnie podczas uroczystych procesji w parafiach
noszone były przez niezamężne dziewczęta.

Czoło pielgrzymki dotarło już do pierwszych zabudowań w Swarzewie. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i można będzie się przygotować do uroczystego wkroczenia do wsi. Wszyscy pielgrzymi zatrzymywali się przed krzyżem przydrożnym stojącym prawie nad samą zatoką. Niektórzy siadali pod płotami okolicznych zabudowań, aby nieco odpocząć. Dla niosących emblematy parafialne był to czas intensywnej pracy. Należało wszystko odpowiednio odświeżyć i przyozdobić, a samemu odświętnie się ubrać. Księża towarzyszący pielgrzymom przynaglali, aby się spieszyć z przygotowaniami, bo już niebawem trzeba wyruszyć na spotkanie z gospodarzami.

Do zakrystii wpadł zasapany Antoś i otwierając ciężkie drzwi zewnętrzne wymamrotał:

– Oni są ju kole krzyża.

Ksiądz proboszcz usłyszawszy to dał znak do wyjścia. Z zakrystii do prezbiterium wyszli ministranci, za nimi ksiądz proboszcz, a na końcu organista kierując się bezpośrednio ku balustradzie. Dał znak do wyjścia stojącemu w środkowej nawie orszakowi. Pierwszy ruszył pan Ksawery, który od wielu już lat zawsze podczas procesji nosił krzyż. Za nim trzy dwójki młodych mężczyzn niosących chorągwie, a potem dwie dziewczyny z proporcami. W końcu cztery panienki, pięknie ubrane w plisowane spódniczki i bluzki z wyszywanym haftem kaszubskim,

podjęły równomiernie za drążki feretron, wykonały obrót i skierowały się miarowym krokiem ku wyjściu. Za nimi szli ministranci, a na końcu ksiądz proboszcz. Ruszyli dość szybkim krokiem w całkowitym milczeniu. Niewiele osób im towarzyszyło. Obeszli cmentarz przykościelny, zostawiając po prawej stronie niewielki staw i zabudowania Sosnowskich. Skierowali się w dół ku morzu uliczką żwirową z licznymi wyżłobieniami, którymi woda wartko spływała podczas ulewnych deszczy. Za lekkim zakrętem stromość ustąpiła i powierzchnia uliczki była bardziej wyrównana. Zatrzymali się u podnóża kapliczki, gdzie zgromadził się już spory tłumek mieszkańców Swarzewa oraz wcześniej przybyłych tu pielgrzymów. Niektórzy z nich wchodzili na wzniesienie i tłoczyli się wokół kapliczki, aby lepiej obejrzeć ceremoniał przywitania orszaku pątniczego. Inni wchodzili do kapliczki, żeby zaczerpnąć wody ze studzienki mieszczącej się pod odświętnie przybranym ołtarzem.

W kapliczce panował nastrój skupienia i modlitwy, zakłócany jedynie metalicznym dźwiękiem wywołanym uderzeniami łańcuszka o ołowiany dzbanuszek, gdy kolejna osoba opuszczała go do studzienki. Lekki plusk wskazywał na to, że dzbanek osiągnął lustro wody. Trzeba było wówczas jeszcze trochę popuścić łańcuszek, aby cały dzbanek zanurzył się w wodzie i po chwili można go było z wielką uwagą zacząć wyciągać ku górze. Wszystko

to odbywało się w całkowitej ciemności, po omacku, ponieważ wlot do studzienki był niewielki, a i światła w samej kapliczce było niewiele. Tak więc nie każdemu udawało się wyciągnąć napełniony dzbanuszek. Gdy już jednak wyciągnięto dzbanek z wodą, to kilka osób dzieliło się jego zawartością, nalewając ją zwykle do niedużych buteleczek po lekarstwach. Zawartość pieczołowicie zamykano korkiem i z wielkim nabożeństwem chowano do podręcznych toreb podróżnych.

– Zdrze-le tam, kole kapelćci stoi Dorotka. Wi-dziś te ja, tamoj. – Szturchnął Franka w bok Antoś i pokazał palcem w kierunku kapliczki.

Chłopcy stali na schodach u podnóża kapliczki, obok księdza proboszcza i organisty. Na ulicy przygotowywał się do obrządku powitania orszak parafialny. Nagle zrobiło się duże poruszenie wśród czekających, gdy zobaczono w oddali z naprzeciwka zbliżających się pielgrzymów i usłyszano mocne dźwięki orkiestry dętej.

Pątnicy doszli do kapliczki i stanęli w orszaku naprzeciw gospodarzy. Skończył się śpiew. Do księdza proboszcza zdążył już podejść i przywitać się z nim proboszcz z Władysławowa. Na ulicy rozpoczął się obrzęd powitań polegający na wzajemnych pokłonach kolejnych emblematów religijnych. Najpierw, wykonując pokłon na wprost i na boki, przywitał

się krzyż gospodarzy z krzyżem z Władysławowa. Następnie niosący je mężczyźni podeszli do siebie, uścisnęli sobie dłonie i stanęli z boku pozostawiając wolne miejsce na powitanie chorągwi i proporców. Teraz nadchodziła kulminacyjna chwila, obrzęd witania się feretronów. Wyszukane ruchy w przód, w tył, na boki, wykonywane zawsze przy akompaniamencie orkiestry dętej, kończyły się głębokim skłonem.

Oczy wszystkich zebranych skierowane były w to jedno miejsce, gdzie odbywał się ten ceremoniał. Nierzadkie były takie oto komentarze: – Zdrze-le, jak oni to peszno robią.

Zwykle każda parafia miała swoistą melodię i własny układ ruchu feretronu. Dziewczyny ze Swarzewa musiały wykonać tych ruchów wiele, gdyż kolejno witano parafian z Kuźnicy, Jastarni i Helu. Następnie uformował się orszak, na czele którego niesione były emblematy gospodarzy, a potem według kolejności powitań ustawili się goście. Na końcu orszaku ustawiła się orkiestra z Jastarni, która rokrocznie towarzyszyła pątnikom i cały orszak ruszył w kierunku kościoła. Orkiestra zaczęła grać. Szybko podchwycono melodię i całą dolinę wypełnił donośny śpiew maryjnej pieśni „Do Twej dążym kaplicy, co z brzegu czeka nas ...”.

W kościele wyczuwało się już napięcie oczekiwania. Mimo iż było to wczesne popołudnie, główny ołtarz został całkowicie oświetlony. Cudowna figurka

Matki Boskiej była już odślonięta. W ławkach brakowało miejsc. Robiło się tłoczno na gankach. Im bardziej nasilały się dźwięki orkiestry i słychać było śpiew dochodzący z zewnątrz, tym większe wyczuwało się poruszenie. Oczywiście wszystkich skierowane były do tyłu kościoła, w kierunku głównego wejścia. Wreszcie w wejściu pojawił się orszak, który dostojnie kierował się do ołtarza. Przed ołtarzem powtórzono ceremoniał powitania. I znowu największych przeżyć dostarczał obrządek witania wykonywany przez feretrony. Potem ksiądz proboszcz skierował z ambony słowa powitania. Witał przybyłych księży, siostry zakonne i wszystkich pielgrzymów. Potem przyszedł czas na uroczyste nieszpory. A wieczorem, gdy już zapadł zmierzch, odmawiano różaniec.

Antoś wpadł do domu wołając od progu:

– Mama, trymbacze ju idą do nas!

Kapelmistrz z trąbką w ręku zapukał do niedomkniętych drzwi i rozchylając je powiedział:

– Pochwalony Jézus Chrystus. Ma jésma zôs u waju. Możema jak luni ostawic naje instrumenta na przentrze.

– Na wieczy wieków Amen – odpowiedziała pani Anna, odwracając się od kuchni, przy której się krzątała.

– To doch je peszno, że wa jesta zôs w Swôrzwie. Jo, jo, waji instrumenta moegą leżec jak wiedno

na przetrze. We doch pamientoce jak tam idź po trapach. One mdą tam bezpieczni.

Antoś siedział za stołem w kuchni i patrzył na przeróżne instrumenty, które nieśli mężczyźni kierujący się ku klatce schodowej. Ciekawe, jak to się na czymś takim gra? – pomyślał sobie.

Zaczęło już zmierzchać, gdy Antoś zakradł się na strych i stanął przed ułożonymi na podłodze instrumentami. Fascynujące kształty i zachwycająca złota poświata, jaka biła od instrumentów, onieśmiały go. Wszedł na strych w jednym celu – żeby spróbować jak się gra na trąbce, choć nie miał zielonego pojęcia jak się za to wziąć.

Wielokrotnie przyglądał się muzykantom, jak dmuchali w trąby. To chyba proste. Teraz ma je tak blisko, wystarczy sięgnąć po instrument i spróbować. A jednak bał się ich dotknąć. Pamiętał jak matka przyrzekła kapelmistrzowi, że wszystko będzie w porządku. Jak ruszy jakiś instrument, to czy uda mu się go odłożyć z powrotem tak, żeby nikt się nie poznał. A gdy dmuchnie i zatrąbi, to może przecież ktoś usłyszeć. I wtedy wszystko się wyda, że tu się zakradł i ruszał instrumenty. Stał długą chwilę zapatrzony w trąbki zastanawiając się co zrobić. Na strychu robiło się coraz ciemniej. Nie lubił, gdy zmierzchało, bo wydawało się, że z ciemnych zakamarków wyłaniają się jakieś bezkształtne postaci.

Bał się tej chwili, chciał odejść, a jednak jakaś siła trzymała go. Ciągle stał. Wiedział, że jeżeli nie sięgnie po jakiś instrument teraz, to już nie będzie okazji. Jutro rano będzie musiał iść do kościoła; na niego wypadła służba do mszy w kapliczce nad morzem o szóstej rano.

Trudno, niech się dzieje co chce, muszę to zrobić dziś – pomyślał i nachylił się. W zasięgu ręki była trąbka. Sięgnął po nią. Trzymał ją w prawej dłoni. Z wielką uwagą przyglądał się jej. Nigdy nie miał takiego instrumentu w ręku. Owszem, na skrzypcach to kazali mu grać. Nawet wprawki, które musiał ćwiczyć nieźle mu wychodziły. Ale dźwięk skrzypiec był bardzo piskliwy; zresztą smyczek dość często zjeżdżał mu ze struny i osuwając się po korpusie skrzypiec wydawał przenikliwy dźwięk, który doprowadzał go do szału. Dźwięk ten całkiem podobny do tego, gdy nauczycielce z geografii kreda jakoś zjeżdżała, gdy pisała na tablicy. Innym nauczycielom się to nie trafiało.

Trąbka to co innego niż skrzypce. Podziwiał orkiestry dęte. Przypomniał sobie wesele starszej kuzynki. Cały czas tkwił mu w pamięci jeden z muzykantów z orkiestry, który pięknie grał na trąbce. Tak mu to łatwo szło. Tylko dmuchał. Nie zastanawiając się więc już dłużej przyłożył trąbkę do ust i dmuchnął. Przez trąbkę przeleciało powietrze. Zero dźwięku. Jakże się rozczarował. Spróbował jeszcze raz. To samo. Bardzo

go to zdziwiło. Pośpiesznie odłożył trąbkę. Już chciał odchodzić; jednak zatrzymał się i popatrzał na tubę. Może na „tym dużym” uda się zagrać – pomyślał. Leżała dość daleko, za dwoma rzędami mniejszych instrumentów. Nachylił się, wyciągnął rękę i złapał jedynie skraju wywiniętego wylotu. Usiłował nieco przesunąć tubę w swoją stronę. Wówczas stracił równowagę i runął całym ciałem na podłogę rozsuwając instrumenty. Szybko podniósł się i przerażony usiłował doprowadzić wszystko do porządku. Nie bardzo mu to wyszło. Pomyślał sobie, pewnie kapela się na tym pozna i w przyszłym roku muzykanci nie złożą swoich instrumentów na przechowanie u jego mamy, i już nigdy więcej nie będzie miał okazji spróbować gry na instrumentach dętych.

– Sënie – rzekł ojciec do Franka – biô-le zardrze jaczi tam je porządk w stodoli. Żebe ti pontnice nom jij nie spolele. – Ojciec chciał tym poleceniem przysposobić syna do odpowiedzialności za gospodarstwo. I tak z pewnością sam jeszcze w nocy zrobi dyskretny obchód zabudowań. Bliska rodzina, która przyjechała na odpust została położona na noc w domu, natomiast nieznanymi poszli spać do stodoły. Przestrzeni w stodole było dużo. Dopiero za tydzień, albo nawet za dwa, gospodarze wyruszą w pole na żniwa.

Na dworze było jeszcze widno mimo późnej godziny. Z rzadka ktoś przemyczał się przez podwór-

ko. Byli to przeważnie noclegowicze ze stodoły. W kuchni robili sobie jedzenie, a potem szli spać do stodoły. Nieduże drzwi w szerokich wrotach były otwarte. Wszedł więc Franek do środka, aby zobaczyć zgodnie z poleceniem ojca jak zachowują się pątnicy. W środku było już ciemno, jednak przez szpary w deskach docierało trochę światła. Po chwili oswoił się z półmrokiem. Zauważył po drugiej stronie klepiska grupkę młodych osób, pięciu mężczyzn i dwie kobiety. Troje z nich siedziało opartych o przegrodę dzielącą klepisko od pozostałej części stodoły, pozostali leżeli już na rozestanej słomie.

– Pědendze tu do nas – powiedział jeden z mężczyzn. – Me cě znajemě. Te doch jes sena gospodõrza. Sadni so kole nas.

Franek podszedł do nich i usiadł obok mężczyzny, który do niego się odezwał. Towarzystwo było rozochoczone. Głowa jednego z mężczyzn oparta była o biust dziewczyny, a inny ją obłapywał za kolana. Druga dziewczyna była obmacywana przez pozostałych dwóch mężczyzn. Mężczyźni liczyli sobie około dwudziestu paru – trzydziestu lat, kobiety były od nich młodsze. Miały chyba około dwudziestu lat.

– Wes le, napij so z nami – zwrócił się do Francka ten sam mężczyzna, który go zaprosił i podał mu szklanę-musztardówkę napełnioną do ćwierci objętości. W prawej dłoni trzymał półlitrowkę z czerwoną naklejką. A obok na klepisku stały trzy

podobne butelki już opróżnione. Franek przyłożył szklankę do ust i wypił. Nigdy przedtem nie pił wódki. Pozostał mu w ustach jakiś ostry smak. Nieco się skrzywił. Oddał szklankę mężczyźnie. Ten nalał do tej samej szklanki porcję wódki i podał ją dziewczynie siedzącej w towarzystwie dwóch mężczyzn. Gdy sięgała po wódkę, jeden z nich usiłował łąpać ją za pierś. Śmiejąc się w głos nie zareagowała na to.

– Pij, pij, to pódze lżij i mdze wjeselnij – powiedział i zaczął ją intensywniej obmacywać. Nie stawiała oporu. Wypiła wódkę do dna.

Kolejka obeszła i wróciła do Franka. Dostał kolejną szklankę. Wypił zawartość. Oswoił się już nieco z sytuacją. Nie wszystkie żarty, zresztą na ogół sprośne rozumiał, ale śmiał się coraz serdeczniej. Po trzeciej kolejce zauważył, choć robiło się już coraz ciemniej, że nie ma tej pary, która się obmacywała. Zaniepokojony zapytał znajomego co się z nimi stało. Przecież ojciec kazał mu pilnować porządku.

– Bjô-le tam na bok, zazdrze za przegrode, jak chesz oebezdrzec jak so robi dzece. Te doch jes gbursczy knop i te ju pewnie widzôl jak krowe bulejå – zaśmiał się sarkastycznie, a pozostali mu zawtórowali.

Franek nie bardzo rozumiał o co chodzi. Tak więc wstał i zajrzał za przegrodę. Tam było już całkiem ciemno. Po chwili, gdy oswoił się z ciemnościami, zauważył co się dzieje i teraz zrozumiał co znaczyły słowa, które powiedział „znajomy od wódki”. Tam-

ci byli zajęci sobą, że w ogóle go nie zauważyli. W uszach słyszał ciągle ohydny śmiech pozostałych kompanów od wódki. Nie pamięta jak znalazł się na podwórku. Pobiegł w kierunku kościoła, ale drzwi były już zamknięte. Obrazy, które widział cały czas szły za nim. Kręciło mu się w głowie po wódce i z emocji. Złapały go torsje.

Było już całkiem ciemno, gdy wrócił do domu. Bał się ojca. Miał przecież pilnować obejścia, a on nawet nie wiedział, co się z nim działo przez ostatnie dwie godziny. W domu nie paliły się już światła. Przed drzwiami powitały go psy. Poglądził je po głowie i podrapał za uszami. Przykładając palec do ust, powiedział: – Cicho pieski. Poślanie na noc odpustową miał przygotowane na strychu. Szczęśliwie nie natknąwszy się na nikogo dotarł do leża. Położył się. Długo nie mógł zasnąć.

= = =

Kościół wypełniały zapachy kadzideł. Orszak procesyjny stał w środkowym przejściu gotowy do wyjścia. Wszyscy klęczeli. Proboszcz z Jastarni podjął oburącz z ołtarza monstrancję, odwrócił się i zaintonował pieśń „Twoja cześć, chwała, nasz wieczny Panie”. Organy zagrały silnym akordem. Orkiestra z Jastarni podjęła pieśń. Ludzie śpiewali

w uniesieniu. Ksiądz stał jeszcze przez chwilę przy ołtarzu. Potem zszedł po stopniach. W międzyczasie ruszyła procesja, do której dołączyli ministranci, siostry zakonne i księża. Celebrans z monstrancją szedł pod baldachimem niesionym przez czterech najzacniejszych gospodarzy ze wsi. Wśród nich był ojciec Franka. Przyglądał się z uwagą swojemu synowi, który wypełniał odpowiedzialne zadanie. Szedł przed baldachimem machając kadzidłem. Robił to jakoś inaczej niż zwykle. Nie bardzo wiedział na czym ta różnica polega, ale coś w zachowaniu syna mu się nie podobało.

Procesja dotarła do połowego ołtarza, zbudowanego na ścianie kościoła przy bocznym wejściu od południa, zwanym wejściem „gnieźdźwesczim”. Zadanie Franka się skończyło i stanął z boku na podium ołtarza przy pozostałych ministrantach. Rozpoczęła się celebra uroczystej sumy odpustowej, podczas której bywały momenty, że był jakby nieobecny. Bardzo starał się zapamiętać o czym była mowa w ewangelii, na wypadek gdyby o to zapytał ojciec. Podczas kazania myśli uciekały mu do wczorajszego wieczoru. Szczególnie zajmowało go to, co widział za barierą w stodole. Obraz ten wracał ze szczególną natarczywością. Chyba nie może pójść do komunii po tym, co stało się wczoraj – pomyślał. Chciał nawet pójść z rana do spowiedzi, ale się wstydził. Przecież był wczoraj. Co sobie o nim pomyśli ksiądz, jak

powie, że znowuż dziś się spowiada. A zresztą od samego rana był bardzo zajęty. Na moment tylko wpadł do domu, żeby zjeść śniadanie. No ale teraz, co ma zrobić. Jak ojciec zauważy, że nie poszedł do komunii, to jak się z tego przed nim wytłumaczy. Wahał się jeszcze przez chwilę.

Zadzwończy dzwonki i ministranci podeszli już do ołtarza, aby przyjąć komunię. On szedł z nimi.

Franek nie lubił zamieszania jakie robiło się w domu, gdy po sumie ludzie zbierali się w obejściu, aby coś zjeść. Dla bliskiej rodziny obiad był serwowany w „paradnicy”. Natomiast inni mogli sobie kupić tani posiłek. Dla nich przygotowano stół na podwórzu, ponieważ dzień był upalny. Przy stole tym zauważył Franek swoich znajomych z wczorajszego wieczoru. Czmychnął bokiem do domu. Nie chciał się z nimi spotkać. Zjadł szybko obiad i pobiegł zobaczyć, co też ciekawego mają na straganach. Spotkał tam swoich kolegów: Wacka, Janka i Michała. Czekali już na niego na ulicy przy bramie, przed głównym wejściem do kościoła.

– Franek, zdrze-le – powiedział Michał sięgając do kieszeni po zdobycz ukradzioną ze straganów. – Me mome ju jedną rundę zrobioné. A te ni mosz jisz nic. Na, flot do robotre. Kto wici nazbierô.

System był dość prosty. Najpierw upatrzyli sobie stragan, gdzie tłoczyło się sporo ludzi. Potem rozdzielali się na dwie grupy. Wacek i Janek podchodzili

do straganu z jednego brzegu, a Michał i Franek z drugiego. Zwykle Wacek prosił, żeby sprzedawca pokazał jakiś przedmiot, który leżał na skraju blatu. Sprzedający sięgał, skupiając całą swoją uwagę na tej czynności. Wtedy Michał i Franek wkraczali do akcji. Więcej punktów zbierał ten, który był w stanie zwinąć przedmiot leżący jak najbliżej sprzedawcy. Trzeba było wykazywać się dużą zręcznością i sprytem, żeby tego nie zauważyli kupujący lub sprzedawcy z sąsiednich straganów. Stragany przylegały do siebie i straganiarze zwykle się asekurowali i wzajemnie wspomagali przy łapaniu złodziejasków. Jednak chłopcy mieli już doświadczenie i rutynę. Od dwóch lat bawili się podczas odpustów w takie podchody. Rzadko zaliczali stragany, gdzie za stołem stały dwie osoby. Wówczas ryzyko bycia przyłapanym było znaczne. Niestety tego lata straganów z pojedynczą obsługą było mało.

Franek wkładał do kieszeni ściągnięte ze straganu jojo na gumce, gdy ktoś złapał go za rękę. Zaskoczenie było tak wielkie, że z przerażenia nogi odmówiły mu posłuszeństwa i nie był w stanie uciekać. Coś takiego spotkało go po raz pierwszy.

– Chłopcze, wiem co masz w kieszeni. Widziałem jak to kradłeś. – Złapany na gorącym uczynku Franek nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Po chwili ochłonął i dopiero wtedy zorientował się, że

za rękę trzyma go mężczyzna, któremu z Antosiem przedwczoraj przytaszczyli bok wozu na blat do straganu.

– Proszę pana, ja... ja to... – zaczął coś bełkotać.
– Nie tłumacz się chłopcze – przerwał mu mężczyzna. Koledzy zorientowawszy się, że Franek został złapany, uciekli. Pozostał więc sam na sam ze straganiarzem.

– Niech mnie pan puści – cicho wymamrotał.

– Puszczę cię tylko dlatego, że mi pomogłeś. Ale drugi raz jak zostaniesz złapany, to będzie z tobą źle. – Franek nagle poczuł się całkiem samotny, mimo że naokoło był tłum tak gęsty, że trudno było swobodnie przejść.

W kościele kończyły się nieszpory. Pielgrzymi szykowali się już do pożegnania. Obrządek żegnania się przed cudownym obrazem Matki Boskiej Swarzewskiej był taki sam jak przy przywitaniu. Antos ukradkiem patrzył na muzykantów, którzy szykowali się do odegrania odpowiednich melodii towarzyszących pożegnaniom feretronów. Zauważył, że niektórzy z nich przed przyłożeniem instrumentów do ust zakładali na wlot do instrumentu jakieś nakładki i dopiero wówczas grali. Spojrzył uważnie na innych; ich instrumenty już takie nakładki miały. Dopiero teraz uświadomił sobie, że trąbka, na której usiłował grać nie miała takiej końcówki. I chyba pozostałe

instrumenty też tego nie miały – tak myślał przypominając sobie, jak na strychu im się przyglądał. Przecież miał kilka z nich w ręku, gdy starał się je poukładać po tym, jak na nie runął sięgając po tubę.

Orszak wyszedł z kościoła. Na czele szli gospodarze, za nimi pozostałe parafie. Wracali tą samą drogą, którą przyszli, kierując się do kapliczki nad morzem. Tam również według tego samego obyczaju co przy przywitaniu odbyła się celebra pożegnania. Tłum, który się tam zebrał był dość spory. Miejscowi wylewnie żegnali się ze swoimi znajomymi, nieczęsto zresztą byli to bliżsi lub dalsi członkowie rodzin. Również wiele życliwości przekazywali sobie mężczyźni i dziewczyny, które niosły emblematy religijne. Czule żegnali się z gospodarzami. Każdego z księży żegnał ksiądz proboszcz ze Swarzewa. Życzono dobrej drogi i do zobaczenia za rok. Wytworzyła się jakaś przedziwnie życzliwa i przyjacielska atmosfera. Pielgrzymi zaczęli się już oddalać. Gospodarze jeszcze stali i machali rękoma. Orkiestra zagrała pieśń „Kto się w opiekę odda Panu swemu”.

Gospodarze wrócili do kościoła. Cudowna figurka była już zasłonięta. Zaledwie kilka osób jeszcze modliło się. Chorągwie i proporce zostały wstawione do odpowiednich stojaków mieszczących się po bokach w rogach ławek a feretron ustawiały „obraznice”

pod ścianą na stojaku przy bocznym ołtarzu Matki Boskiej. Ksiądz proboszcz z ministrantami podszedł do głównego ołtarza. Wszyscy uklękli na jedno kolano, wstali i skierowali się ku zakrystii. Tam chłopcy stanęli w szeregu naprzeciw kredensu jak zawsze, gdy wracali po zakończonym nabożeństwie. Złożyli ukłon przed proboszczem, który podziękował im przyjaznym uśmiechem. Wszyscy byli już bardzo zmęczeni dwoma dniami intensywnej służby. Ministranci spokojnie przeszli do swojego kącika, gdzie zdjęli kołnierze i komże i zawiesili je na drewnianych wieszakach. Nie wychodzili dopóki ksiądz proboszcz był w zakrystii, potem gdy wyszedł, szybko wybiegli na zewnątrz. Tam czekali na nich koledzy, z którymi grasowali między straganami. Zaczęła się licytacja zdobyczy.

– Cesz to belo z tobą, Franek? – zapytał Michał.

– Te so dol zlapac, cesz z ce je za chlop – wtórował mu Janek. Inni ze zdziwieniem popatrzeni po sobie. Nie bardzo rozumieli, o czym chłopcy mówią.

– Rzczeta doch nom cesz so stalo – poprosił Antoś.

Chłopcy niewiele mieli do powiedzenia, bo uciekli w momencie zamieszania, gdy Franek został przyłapany. A on milczał. Zrobiło się wszystkim jakoś nieswojo. Niezręczność tę przerwał Wacek.

– Idzema do nai na ogrôdk obezdrzec co ma moma naszabrowôně.

Cała grupa skierowała się w stronę obejścia Proenów. Był tam obszerny ogród od ulicy oddzielony gęstym żywopłotem. W głębi na skarpie stała stodoła a za nią dopiero pozostałe zabudowania. W ogrodzie tym można było spokojnie się ukryć, nie będąc zauważonym ani od ulicy, ani z domu właściciela. Przystąpili więc do przeglądu trofeów. Nie było tego zbyt wiele. W ubiegłym roku, szczególnie podczas drugiego odpustu, szaber, jak to określali, poszedł im znacznie lepiej. Tym razem najlepiej wypadł Michał. Miał dwa pierścionki, jojo, trzy gwizdki, z których jeden był kogucikiem z pięknymi, kolorowymi piórkami. Franek pokazał swoje jojo, ale czuł, że go parzy w ręce. Było przecież kradzione. Ale gdyby go nie miał, wypadłby fatalnie. Tak więc dobrze, że je ma. Antoś miał puste kieszenie, nie dlatego, żeby był aż tak uczciwy, ale po prostu tak się złożyło. Nie miał dziś czasu być przy straganach.

– Franek, ma muszima isc przeniesc nen temrôk twojemu tatkowi – przypomniał Antoś. – To je ju pödze. Oni gwesno zaczenle rozbierac bude.

Obaj pobiegli w kierunku straganów zostawiając kolegów w ogrodzie. Znaleźli się tam w odpowiednim momencie. Zaczęła się już gorączka likwidowania jarmarku. U większości straganiarzy towary były już zapakowane do dużych podróżnych walizek lub

solidnych kartonów. Z pakowaniem swoich kramów ociągali się handlujący słodyczami, ponieważ wprawdzie z rzadka, ale zdarzali się jeszcze kupujący. Stragan, który interesował chłopców był już prawie całkiem rozebrany. Nieopodal stał znajomy im mężczyzna.

– Dobrze, że już przyszlście, chłopaki. Zacząłem się denerwować co z tym zrobić – wskazał na leżący nieopodal na ziemi bok wozu. – Przecież nie wiem od kogo żeście to wzięli. Franek chciał jak najszybciej uciec od tego mężczyzny. Nie spojrzał nawet w jego stronę.

– Antoś, wës ten temrök ze wsladë a jô wezna ło z przôdku – rzekł Franek. Podnieśli z ziemi bok wozu i szybko udali się z nim do domu Franka. Na podwórku było już cicho i spokojnie. Również na wsi z rzadka trafiał się jakiś przechodzień.

Gdy starannie składali skrzynkę wozu podszedł do nich ojciec Franka.

– Në ja knôpi, to je jö po odpusce – spojrzał dość wymownie na Franka. – Jak wa to zrobita, przindzesz do mie. Ma môma ze sobą do pogôdaniu. – Tego właśnie bał się Franek. Wiedział przecież, że rozmowa z ojcem jest nieunikniona, ale łudził się, że to nie nastąpi już, teraz. Obmyślał sobie prawie przez cały dzień przebieg tej rozmowy, ale w dalszym ciągu nie wiedział co może ojcu powiedzieć, a co chce zataić.

Antoś wracał samotnie do domu. Było już sporo po szóstej. Słońce dawało długie cienie. Powietrze było jeszcze nagrzane po długim upalnym dniu. Przechodził koło kościoła, gdzie niedawno przelewał się tłum i było bardzo gwarno i hałaśliwie. Po straganach nie pozostało już śladu, jedynie gdzieś tam wały się zmięte papiery i puste kartony. Był sam. Ogarnęło go jakieś dziwne uczucie, ni to pustki, ni tęsknoty. Cisza, która go otaczała była dziwnie przejmująca, a jednocześnie kojąca. Chciał przed tym uciekać a jednocześnie to go wciągało. Rozłożył ręce i podskakując z nogi na nogę zaczął wykonywać taneczne półobroty nucąc jakąś tęskną melodię. Poczul się całkiem wyizolowany, zamknięty jakby w szklanej przestrzeni. Wydawało mu się, że wokół nikogo nie ma. Nagle przystanął. Niewidzialna zasłona opadła. Ocknął się i zauważył, że przygląda mu się Dorotka, a obok niej stoi nieznanemu mu młodszy od niej chłopak. Poczul się bardzo nieswojo. Uśmiechnął się do niej i nieco zawstydzony poszedł szybko w kierunku swojego domu.

– Ty go znasz? – zapytał brat Dorotki. – Tak – odpowiedziała. – To jest kolega Franka. Syna tego pana, który nas wioził z dworca. Poznałam ich wczoraj. Sympatyczni chłopcy. Poczęstowali mnie cukierkami.

Od poniedziałku nastaly normalne dni sezonu letniskowego. Życie toczyło się znowu dość leniwie. Nawet minione dwa dni były dla wczasowiczów czasem wypoczynku, mimo wyraźnego zamieszania we wsi spowodowanego odpustem. Rodzina Dorotki całe minione niedzielne popołudnie spędziła na plaży. Mieszkali na drugim końcu wsi, u Mudlafów, skąd łatwo można było dojść na brzeg morza bez konieczności przechodzenia przez główną ulicę. Ulica ta dzieliła wieś jakby na dwie części. Letnicy zwykle woleli mieszkać u tych gospodarzy, których zabudowania usytuowane były właśnie po stronie morza. Wychodzili wówczas z domu lekko odziani, zwykle tylko w strojach kąpielowych – nie musieli przechodzić przez wieś. Pozostali, którzy nie mieli takiej wygody przywykli do przedzierania się przez podwórka, aby dostać się nad morze. Zwykle przechodziło się koło zabudowań Szrederów, dawnej piekarni, a dalej przez podwórko Kuźla i Renusza. A potem teren lekko opadał w kierunku zatoki, kończąc się głębokim wąwozem. Wąwóz ten był zacisznym miejscem do plażowania, gdy wiał wiatr z innych kierunków, a nie wprost od morza. Wtedy wytwarzał się tam swoisty przeciąg. Zimą wąwóz ten był doskonałym terenem do zjazdów saneczkowych. W jednym i drugim kierunku od wąwozu rozciągały

się niezbyt rozległe odcinki wąskiej plaży. W słoneczne i ciepłe dni miejsca te były dość licznie zajęte przez plażowiczów. Tu również usytuowana była w morzu jedna z dwóch przebieralni, do której prowadził kilkunastometrowej długości pomost. Dalej w kierunku Pucka, na nieco większym zboczu rosły gęste krzaki zdominowane przez jeżyny. Tam plaży nie było; jedynie podczas spokojnej wody można było łatwo przejść po grubym żwirze i znaleźć się znowu na krótkim odcinku białego, drobnego piasku. W tych okolicach zwykle z uroków plażowania korzystała rodzina Dorotki.

– Pozwól, tatusiu abyśmy z bratem przeszli się trochę wzdłuż brzegu – zwróciła się do ojca Dorotka.
– Niedługo będziemy z powrotem.

Nie było sprzeciwu ze strony ojca. Dzieci zastanawiały się przez chwilę w którą iść stronę. Wczoraj wieczorem zrobili sobie całą rodziną długi spacer plażą w kierunku na Wielką Wieś. Znali więc już ten odcinek brzegu. Zresztą zbyt daleko ujść tam nie można było. Doszli do murowanej strażnicy wojskowej odległej o kilkadziesiąt metrów od krzyża przydrożnego, gdzie pielgrzymi przygotowywali się przedwczoraj na uroczyste wkroczenie do wsi. Dalej za strażnicą spacer po plaży był niemożliwy. Rozciągały się jak okiem sięgnąć zasieki. Był to wysoki na ponad dwa metry płot. Na solidnych betonowych

słupach rozciągnięty był w wąskich odstępach drut kolczasty; oczywiście tak gęsto, aby nikt nie mógł się przecisnąć. Przy strażnicy, czyli tam gdzie się zaczynały te zasieki, ów płot wyprowadzony był kilkanaście metrów w morze, tak by od wody również nikt nie mógł się dostać na dalszy odcinek plaży. W zasiekach zainstalowane były rakiety świetlne ostrzegawcze, a ponadto cały teren wzdłuż morza był z częstotliwością co parę godzin patrolowany przez żołnierzy-wopistów.

Jurek, brat Dorotki, mimo że był od niej ponad rok młodszy, tym razem zarządził, że idą w stronę przeciwną. Zwykle to ona narzucała bratu swoją wolę. Poszli więc w kierunku Pucka. Była to bardzo trudna przeprawa. Stromy brzeg gęsto porastały zarośla wchodzące w wielu miejscach na odległość dwóch, trzech metrów do wody. Aby dalej iść przed siebie musieli wchodzić po kolana do wody. Dzień był ciepły, słoneczny, tak więc taplanie się w wodzie było przyjemnością. Po niedługim czasie dotarli do odcinka ładnej, szerokiej plaży, z drobnym, białym i bardzo sypkim piaskiem. Tu zastali sporo letników, którzy leżeli na rozłożonych na piasku kocach. Dzieci baraszkowały w płytkiej wodzie. Z tego miejsca do wsi prowadziła szeroka droga w wyraźnym obniżeniu terenu. Dalej rozciągały się pola i łąki, przylegające do stromeego brzegu nieco

niższego od tego, który pozostawili za sobą, ale tak samo gęsto zarośniętego krzakami. Ten dalszy brzeg był już niedostępny. Zagrodzony wysokim płotem z zasiekami. Konstrukcja tego płotu była taka sama z jaką zetknęli się już wczoraj na spacerze. Tak więc udało im się dokładnie poznać dostępny dla wczasowiczów odcinek brzegu.

– Dora – tak zwracał się Jurek do siostry. – Wracamy.

Rozejrzeli się wokół. Zauważyli, że z klifu prowadzi ścieżka, którą akurat schodziła matka z dwójką dzieci.

– Sprawdźmy, czy tamtędy uda się dojść do rodziców – powiedziała Dorotka.

Zeszli z plaży na łąkę, a następnie zaczęli wspinać się po dość stromym zboczu. Gdy weszli na szczyt klifu zauważyli zabudowania. Wąski pas ziemi oddzielający obejścia tych zabudowań od stromizny klifu zagospodarowany był na poletka z ziemniakami lub ze zbożem. Zarośla od góry nie były tak gęste jak przy samej wodzie. W niektórych miejscach zauważyli wyraźne przesieki i wydeptane ścieżki prowadzące do wnętrza tego gąszczu krzaków.

– Pójdźmy którąś z tych ścieżek w głąb krzaków – zaproponowała Dorotka.

Weszli. Jurek szedł pierwszy. Schodziło się krętą ścieżką po łagodnym zboczu. Po kilkunastu metrach marszu, w czasie którego trzeba było uważać, aby

nie być osmaganym przez pokrzywy i kolce jeżyn, znaleźli się na małej polance, lekko nachylonej w kierunku brzegu i otoczonej ze wszystkich stron krzakami. Jedynie od strony morza była ona odsłonięta, gdyż zarośla porastały tu wysokie zbocze stromo schodzące do morza. Widok na zatokę był stąd wspaniały. Dorotce bardzo się tu spodobało. Usiadła na ziemi i zapatrzyła się w morze. Niebieskie morze skrzyło się w słońcu. Rysowała się wyraźna granica między szerokim pasem jasnoniebieskiej wody ciągnącym się wzdłuż brzegu a głęboko granatową wodą pozostałej części zatoki. Lekki wiatr muskał fale i czasami w oddali tworzyły się słabe białe grzywy. Widnokrąg z lewej strony zamykał ląd Półwyspu Helskiego. Widoczność była dobra i wyraźnie rysowały się zabudowania Chałup i Kuźnicy na tle zielonego, gęstego lasu. Z prawej strony wzrok przyciągała charakterystyczna sylwetka fary w Pucku z wyraźnie ściętą wieżą wyłaniająca się jakby z trzciniowisk i lasów. Na wprost rozciągał się bezkres wód, który zlewał się z błękitem nieba.

– Popatrz Jurek, jak tu pięknie – powiedziała Dorotka.

– Przestań bajdurzyć, ja czuję się w tych chaszczach jakoś nieswojo – odparł Jurek i odwrócił się ku ścieżce, którą tu przyszli. Zdrętwiał z przerażenia. Zobaczył trzech roślących chłopaków wchodzących na polanę.

Dorotka zapatrzona jeszcze w morze leniwie wstawiała z ziemi i nie miała pojęcia co działo się za jej plecami. Rozmarzona odwróciła się i zobaczyła przerażoną twarz brata. Wtedy dopiero zauważyła, że nie są sami na małej powierzchni w tak ustronnym miejscu. W pierwszej chwili nie rozpoznała przybyśszów, bo byli w kąpielówkach.

– Cześć chłopaki – powiedziała i zaczęła się zastanawiać – czy ja pamiętam wasze imiona. Ty jesteś Franek, a ty Antoś, a ciebie – zwróciła się do ich kolegi – to ja nie znam.

– To jest Michał – odpowiedział Antoś, zaskoczony tym, że ich pamiętała.

– Widzieliśmy was jak tu wchodziliście – wtrącił Franek. – To nasza kryjówka i nie lubimy tu obcych. Ale Dorotce wolno, co chłopaki? – Pozostali kiwnęli głowami, że się zgadzają, ale dziwnie pytająco patrzyli na Jurka. Dorotka to zauważyła. – Nie pamiętasz Antoś, przecież to jest mój brat. Widziałeś nas przecież wczoraj wieczorem.

Antoś ze wstydu poczerwieniał. Przypomnił sobie w jakich okolicznościach poznał brata Dorotki. Tego zakłopotania na szczęście nikt nie zauważył.

– Pięknie tu, prawda – powiedział Franek. – Możemy się tu spotykać, jak chcecie.

– Wspaniały pomysł. Już jutro o tej samej porze – podchwyciła Dorotka.

Parę dni po odpuście zmarła pani Apolonia. Od dłuższego czasu narzekała na ostre bóle głowy. Gdy nachodził ją taki ból, sięgała szybko po proszek pospolicie zwany kogucikiem. Dawało to jakąś ulgę i tak się kurowała aż do wczoraj, kiedy rano rodzina znalazła ją już zimną w łóżku. Przywołany z pogotowia lekarz stwierdził zgon i postawił diagnozę. Był to udar mózgu. Gdy dowiedział się, że od lat cierpiała na chroniczne bóle głowy, a ponadto zauważył, że była sobie niezłe tęga, nie miał żadnych wątpliwości, że przyczyną zgonu było wysokie ciśnienie, zresztą nigdy nieleczone, nawet nierozpoznane.

Nagłe odejście pani Apolonii było szokiem nie tylko dla rodziny, ale również dla całej wsi. Była kobietą przez wszystkich lubianą i poważaną. Szczególnie lubiły ją dzieci z przedszkola. Często pomagała pani Tolce w zajęciach z przedszkolakami, a jak trzeba było szykowała również posiłki dla dzieci. Bardzo dobrze gotowała i dzieci zawsze były zachwycone, gdy widziały panią Polę przy kuchni. Wiedziały, że będzie wówczas wspaniałe jedzenie. Mąż jej był bardzo dobrym człowiekiem, ale nigdy nie interesowały go sprawy domu. Teraz stał nad łóżkiem całkiem bezradny. Kompletnie nie docierało do niego, że zmarła jego żona. Osierociła pięcioro dzieci. Najstarsze z nich, Hanka miała niewiele ponad dziewiętnaście

lat i wobec bezradności ojca musiała zająć się pogrzebem i zacząć matkować młodszemu rodzeństwu. Najmłodsze dziecko, Renatka, miała zaledwie siedem lat i skończyła w tym roku pierwszą klasę, a starszy od niej brat był w wieku Franka i Antosia.

Codziennie od dnia śmierci aż do pogrzebu, trzy razy dziennie: rano, w południe i wieczorem rozbrzmiewały wszystkie trzy dzwony kościelne, wzywając mieszkańców wsi do modlitwy za duszę pani Poli. Panu organiście pomagali w tym ministranci. Lubili to, bo była to swego rodzaju rozrywka. Zwykle na Anioł Pański dzwoniło się z kruchty, w której z lewej strony przy kamiennej kropielnicy podwiązany był na haku gruby sznur wychodzący z otworu pod sufitem. Ciągnęło się za ten sznur i wówczas rozlegał się głos najmniejszego z trzech dzwonów o tonacji dość wysokiej. Pozostałe dwa dzwony były większe, choć różnej wielkości i ich głosy też były różne. Teraz, gdy trzeba było, aby dzwoniły wszystkie trzy dzwony, szli na chór i stamtąd po trzech schodach ukrytych za organami wchodzili na pierwszy poziom wieży kościelnej. Tam sięgały sznury od pozostałych dwóch dzwonów. Było to pomieszczenie dość przestronne, ale w znacznej części zajęte przez miechy, z których tłoczono było powietrze do organów. Urządzenie to zajmowało po prawej stronie prawie połowę przestrzeni tego pomieszczenia. W głębi

stał silnik elektryczny napędzający to urządzenie. Zaś z lewej strony, tuż za drzwiami wejściowymi usytuowane były schody prowadzące na wyższy poziomy wieży kościelnej. Środek był pusty i służył do dzwonienia. Nie była to czynność łatwa. Trzeba było się przyuczyć i posiadać umiejętność ciągnięcia za liny, a poza tym mieć trochę krzepy, szczególnie żeby pokonać bezwład największego dzwonu. Chłopcy mocowali się oburącz z każdym z dzwonów. Trzeba więc, aby było ich do tej czynności trzech. Dobrze obznajomiony z techniką dzwonienia mężczyzna, jak pan organista, potrafił na dwie ręce obsłużyć dwa dzwony jednocześnie i wtedy wystarczał jeden ministrant do pomocy. Jednak zawsze potrzebne były minimum dwie osoby.

Ostatnie kilka dni były wyjątkowo upalne. Był koniec lipca. Zaczynały się przygotowania do żniw. Pan Sztefan, który pracował we Władysławowie w Szkunerze przy obróbce ryb, brał zwykle urlop na okres żniw. Pracą przy koszeniu zboża odrabiał czynsz za mieszkanie, które zajmował ze swoją liczną rodziną w połowie chaty będącej własnością Konkola. Druga część zajęta była przez Trudę Hintzkową i jej syna. Wszyscy oni byli wyrobnikami w gospodarstwie Konkolów. Chata mieściła się po przeciwnej stronie ulicy niedaleko od gospodarstwa, od którego oddzielona była zielonym placem, na którym latem

pasły się stada gęsi. Na środku tego placu rosta rozłożysta grusza. Chata ta wyróżniała się spośród innych domów. Była niska, mury z czerwonej cegły, ale o niedużych okienkach. Dach był spadzisty, pokryty słomą. Usytuowana była na skarpie przy drodze prowadzącej do kapliczki nad morzem. Był to swego rodzaju bliźniak. Jedno i drugie mieszkanie składało się z dwóch izb i komory oraz niedużego chlewika, w którym trzymano drób. Na podłodze we wszystkich pomieszczeniach była utwardzona glina, a w jednej z izb w rogu, tuż za drzwiami wejściowymi palenisko z płytą kuchenną.

Siedział teraz pan Sztefan przed domem na specjalnie zrobionej ławeczce z deski ułożonej na dwóch podpórkach. Jedna z nich była nieco wyższa i zakończona żelaznym klinem. Na nim ułożone było ostrze kosy, zaś rękojeść zawieszona na lince podwiązanej na gałęzi wiśni stojącej na środku niewielkiego podwórka. Trzeba było tak kosę ułożyć, aby metalowy sztorc płaską powierzchnią przylegał do klina. Teraz można było przystąpić do klepania kosy. Polegało to na zbijaniu młotkiem ostrza miejsce przy miejscu. Od czasu do czasu należało ostrze polać wodą. W ten sposób przygotowywało się kosę do pracy, aby była odpowiednio ostra przy żęciu żyta. Dobrze naostrzona kosa była chlubą zniwiarza. Dlatego spędzali oni wiele czasu na ich ostrzeniu.

Matka Dorotki nie była zaskoczona tym dziwnym stukotem, jaki dobiegał prawie z każdego podwórka, zetknęła się ze zwyczajem klepania kosy już przed wojną, gdy była na obozie harcerskim w Osłoninie. Jednak dla dzieci i ich ojca było to całkiem nowe doświadczenie. Jurek, gdy całą rodziną schodzili na plażę, przyglądał się z dużym zainteresowaniem jak w sąsiedztwie gospodarz pochłonięty był tym przedźniwnym zajęciem. Nawet przystanął na chwilę i z uwagą przyglądał się, jak precyzyjnie młotek uderzał spadając na samo ostrze kosy.

Było już prawie wpół do pierwszej. Franek, Antoś i Michał wyszli z kościoła. Skończyli właśnie podzwonne w południe. Już niedługo skończy się ten obowiązek. Jutro będzie pogrzeb. Teraz spieszyli się do domów, bo matki były bardzo niezadowolone, gdy któryś z domowników spóźniał się na obiad. Obiad zawsze był w południe i trzeba było go zjeść z całą rodziną. Na odchodnym Franek przypomniał kolegom.

– Dzisiaj doch je pustô noc. Do dzieci o trzeci je kucha. Mdzeta wa?

– Jo, ma mdzema – odpowiedzieli chłopcy.

Spotkali się około trzeciej przed domem pogrzebowym. Drzwi wejściowe były już otwarte. Weszli nieśmiało do sieni. Pokoje były także otwarte.

W pokoju na lewo ustawiono stoły nakryte białym obrusem. W pokoju na prawo, centralnie, na samym środku, na dwóch wspornikach-ławkach stała otwarta trumna. U wezłowia trumny urządzony był ołtarzyk z dużym krucyfiksem ustawionym wysoko na podwyższeniu. Niżej stały cztery lichtarze z grubymi świecami i wazony z kwiatami. Z prawej strony trumny oparty o krzesło był wieniec z szarfami. Stojące w rogu pokoju lustro było zasłonięte prześcieradłem, a okna przysłonięte zasłonami. We wnętrzu pokoju unosił się dziwny, pogrzebowy zapach kwiatów i palących się świec. Było duszno.

Franek wszedł pierwszy. Przykląkł niedaleko drzwi. Dwaj pozostali musieli wejść głębiej do pokoju i ukłękli tak, że dokładnie widzieli twarz nieboszczki. Była ona dziwnie odmieniona, gruba i zarumieniona. Patrzyli na nią ze strachem i przerażeniem. Pamiętali ją przecież jako miłą i sympatyczną opiekunkę a teraz to jakby ktoś całkiem inny. Odmówili zdrowaśkę, przeżegnali się i wyszli. W korytarzu czekała na nich sąsiadka Michała, która z kilkoma innymi kobietami ze wsi pomagała przy przygotowywaniu poczęstunku pogrzebowego. Dała do ręki każdemu z nich duży kawał ciasta.

– Bóg zapłac, że wa przeszła i zmówiła pöcerz za desze pani Poli – powiedziała.

Chłopcy wyszli, zając się pysznym ciastem drożdżowym.

Dzień „pustej nocy” był bardzo upalny. Cała wieś szykowała się, aby zejść do domu pogrzebowego. Kobiety odmówiły już z rana różaniec, zresztą odmawiały go codzienne od dnia śmierci. Jednak ten wieczór i ostatnia noc to czas specjalnego czuwania nad trumną.

– Daj mie biôlô koszëla, bialko – rzekł pan Józef do żony. – Jô doch musza belno wezdrzec na tij pusti noci.

Pan Józef pełnił specjalną rolę we wsi. Był szanowanym gospodarzem. Jego gospodarstwo było jednym z większych w Swarzewie. Piastował poważną funkcję członka Rady Parafialnej. Często bywał w kościele na nabożeństwach i z racji pełnionej funkcji zasiadał w stallach w prezbiterium oraz zbierał kolektę podczas mszy niedzielnych. Robiło się już szaro, gdy dotarł do domu pogrzebowego. Przed drzwiami wejściowymi stało sporo osób, które nie mogły nawet dostać się do sieni, nie mówiąc już o pokoju, w którym wystawiona była trumna. Rozlegał się akurat śpiew pieśni pogrzebowej „Śpijże już po twoim boju, chrześcijanie ukochany”. Podchodząc pozdrowił zebranych.

– Půścëta mie tam benë. To jü je czas na różańc wieczôrny.

Tłumek rozsunał się i zrobił przejście. Gdy wszedł do pokoju zrobiło się lekkie poruszenie. Ci co klęczeli

przed trumną przesunęli się nieco w głąb pokoju. Pan Józef ukląkł na jedno kolano, przeżegnał się i zaczął się modlić po cichu, jednocześnie dyskretnie rozglądając się wśród zebranych. Chciał się zorientować na kogo będzie mógł liczyć do wtórowania w modłach, a szczególnie w śpiewie żałobnych pieśni. W pokoju było bardzo gorąco. Nie zdziwił się. Nie można przecież okien otwierać, bo są zastłonięte, a poza tym zwyczaj zakazuje otwierania okien. Popatrzał na trumnę. Zwłoki wydały mu się dziwnie odmienione. Był tu dziś z rana, gdy kobiety odmawiały różaniec. Owszem, pani Pola była za życia przy kości, ale teraz całe koryto trumny wypełniały zwłoki. Wielki brzuch sterczał wysoko, a twarz była dziwnie nalana i czernejąca. Wyglądało to wszystko bardzo niepokojąco. Pan Józef jako człowiek doświadczony wiedział, że w takich przypadkach trzeba przystąpić do działania niezwłocznie. Zwrócił się do domowników.

– Prženiesta balikã z wodã zemną ze stědnie i wstawta jã pod zark. Na twõrz položta jii chustkõ.

Zaczęła się krzątanina. Nawet te osoby, które stały przed domem dziwiły się temu poruszeniu. Z ust do ust powtarzano szeptem:

– Z nią jě lěcho. Cobě ona blõs nie pãkla, takõ jě napuchlõ.

Zrobiło się wielkie zamieszanie. Część ludzi wyszła na zewnątrz budynku. Reszta starała się jakoś pomagać domownikom. Przyniesiono więc balie

z świeżo nalaną ze studni wodą. Umieszczono ją pod trumną. Ktoś powiedział, że sama woda niewiele pomoże. Owszem, trochę ochłodzi powietrze. Dopiero gdy na zwłoki położy się żelazne łańcuchy zanurzone w wodzie, to można będzie zapobiec katastrofie. Pan Józef przyznał rację, trzeba położyć łańcuchy. Zwrócił się do stojącego obok ojca Franka.

– Të môsz tü nôbleži, kamracë, przeniészë pôra czeidow.

W międzyczasie najstarsza córka pani Poli zakryła jej twarz białą, koronkową chusteczką. Odsunęła się od trumny i rozplakała się. Dwie starsze panie, bliskie sąsiadki, poszły w jej ślady. Panu Józefowi, co zwykle prowadził modły przy trumnie i był odporny na wzruszenia, teraz zakręciły się łzy w oczach. Póki twarz pani Poli była odsłonięta, to tak jakby była wśród nich. Teraz, gdy została zakryta zabrakło kontaktu wzrokowego i żałobnicy odnieśli wrażenie, że odeszła od nich. Zrobiło się wszystkim dziwnie smutno. Pan Józef rozpoczął modły, wszyscy zebrani uklękli, nawet ci przed domem. W połowie odmawiania różańca wrócił ojciec Franka z łańcuchami. Nie chciał przeszkadzać w różańcu. Zatrzymał się przed domem, przykląkł i dołączył do odmawiających zdrowaśki.

Skończono modły. Niektórzy z żałobników zaczęli wychodzić z pokoju. Tych proszono, aby weszli do sąsiedniego pokoju, gdzie na długich stołach przy-

gotowano poczęstunek. Było to kilka rodzajów ciast, a do picia podawano kawę. Jedni siedzieli krócej, inni dłużej. Gdy zwalniało się miejsce przy stole proszono kolejnych żałobników na poczęstunek. Pan Józef po wypiciu filiżanki kawy i zjedzeniu dwóch kawałków ciasta wrócił do pokoju żałobnego. W międzyczasie ojciec Franka przełożył przez trumnę łańcuchy, a ich końcówki umieścił w wannie, do której właśnie nalano świeżej, zimnej wody. Obaj popatrzeni na nieboszczkę.

– Jô mészla, że ona wëtrzimô do witra. – Stwierdził pan Józef i zaintonował „Dobry Jezu a nasz Panie daj jej wieczne spoczywanie”.

Nocą powietrze nieco ochłodziło się. Był to już piąty dzień od śmierci pani Poli. Każdego ranka słońce wstawało w pełni krasy. Niebo było za każdym razem bez śladu chmur. Podobnie było dziś. Zapowiadał się znowu upalny dzień.

Pogrzeb wyznaczony był na godzinę dziesiątą. Wyprowadzenie zwłok z domu pogrzebowego następowało zwykle pół godziny wcześniej. Rano jeszcze odmówiono różaniec. Przyjezdni krewni siedzieli w pokoju obok i jedli śniadanie. Około godziny dziewiątej rodzina i krewni zebrali się przed trumną. Ktoś zaproponował, aby zdjąć z twarzy chusteczkę. Jednak nikt się nie odważył, gdyż część szyi, która była niezastłonięta wyglądała odrażająco. Również

dłonie były całkowicie zaczerwieniałe. Zdjęto łańcuchy z trumny. Niektórzy ukradkiem zerkali na zegarek. Brat pani Poli, który przyjechał z Gdyni szeptem powiedział do swojej żony: – Niechże już ten ksiądz przyjdzie jak najszybciej, żeby się nie stało jakieś nieszczęście. Zobacz, ona jest okropnie napuchnięta; prawie nie mieści się w trumnie.

Zrobiło się jakoś dziwnie i nieswojo. Zwykle przed przyjściem księdza narastała nostalgia i żal, że już trzeba będzie się na zawsze pożegnać z kimś, przecież bardzo bliskim. Tym razem nawet dzieciom pani Poli udzieliło się to niesamowite uczucie. Czy to jest jeszcze kochająca matka, czy rozkładające się ciało, które trzeba jak najszybciej oddać ziemi.

Punktualnie o wpół do dziesiątej wszedł do izby pogrzebowej ksiądz proboszcz, któremu towarzyszył organista i dwóch ministrantów. Jeden z nich trzymał w dłoni kropidło a drugi kociołek z wodą święconą. Po odśpiewaniu i odmówieniu przez księdza po łacinie odpowiednich modłów, organista zaintonował „wieczny odpoczynek ...”. W tym czasie ksiądz poświęcił zwłoki i również zebranych, i skierował się do wyjścia. Na zewnątrz uformował się już orszak pogrzebowy. Krzyż, dwie czarne chorągwie, dwie fioletowe i dwie czerwone niesione przez mężczyzn, następnie niesione przez dwie dziewczyny proporce z czarnymi wstążkami u szczytu oraz feretron udekorowany dwoma czarnymi wstęgami po bo-

kach. Zaczęto wynosić wieńce, które podejmowali chłopcy ze starszych klas, specjalnie do tej posługi zamówieni. Za nimi ustawili się ministranci, ksiądz proboszcz i nieco z boku stanął organista. Z domu wolno wychodzili żałobnicy i stawali po bokach zostawiając środkiem wolne przejście.

Po chwili dało się słyszeć charakterystyczny stukot dochodzący ze środka domu. Dobijano gwoźdźmi wieko od trumny. Był to sygnał do wzmożonego szłochu. Rozpłakała się nie tylko najbliższa rodzina, ale wszyscy sąsiedzi i bliscy znajomi nieboszczki.

Pustą trumnę łatwo było wnieść do pokoju. Teraz, obciążona zwłokami stanowiła nie lada problem. Z trudem radzili sobie tragarze z przeniesieniem jej przez wąskie drzwi pokoju. Pan Józef zauważył wyraźne niebezpieczeństwo, że trumna obsunie się na podłogę w sieni i krzyknął:

– Něže, pomožeta doch tam tym trëgrom.

Ktoś stojący najbliżej drzwi frontowych podbiegł i chwycił trumnę z boku, na który wyraźnie się przechylała.

– Cholipcia, ale pani Pola jě ciężkô – powiedział.

– To tëmô, że ona mōcno napuchła – odpowiedział jeden z tragarzy.

Trumnę postawiono na marach i przepasano pasami, aby nie przesuwiała się podczas niesienia. Ośmiu mężczyzn, po czterech z każdej strony pod-

niosło mary. Ułożyli je sobie na ramieniu, w miarę możliwości wygodnie. Byli gotowi do drogi.

Kondukt żałobny ruszył. Tym razem był wyjątkowo okazały. Oprócz emblematów kościelnych i wieńców niesionych przez dzieci, szły panie z róży różańcowej z palącymi świecami w ręku. Ksiądz proboszcz i organista podczas przemarszu do kościoła śpiewali odpowiednie psalmy po łacinie. Za trumną w milczeniu kroczył bardzo liczny tłum. Chyba zebrali się mieszkańcy z całej wsi. Powagi sytuacji dopełniały dzwony, których tęskny dźwięk napełniał powietrze. Pogoda była wyjątkowa. Słońce zaczęło już przypiekać. Szykował się kolejny bezwietrzny, upalny dzień.

– Franek, wezdrzę le przez okno, jak dalek oni są? – zapytał Antoś przechwytyjąc sznur od średniego dzwonu, którym dzwonił Franek. Antoś teraz dzwonił dwoma dzwonami. Nie było to zadanie łatwe, ponieważ dzwony będąc różnej wielkości miały różne wychyły i dlatego mniejszy dzwon wymagał częstszego ciągnięcia sznurem. Michał „walczył” z największym dzwonem. Dla nastolatków było to zadanie trudne, tak więc z ulgą przyjęli słowa Franka: – Oni są ju w kosciele. Uwiesili się na sznurach i zatrzymali rozkołys dzwonów. Aby upewnić się czy rzeczywiście kondukt pogrzebowy jest w kościele, otworzyli uważnie drzwi prowadzące na strych nad kościołem i nasłuchiwali. Rozpoczęły się

już uroczystości pogrzebowe. Organista i ksiądz proboszcz śpiewali po łacinie znane im psalmy pogrzebowe. Były to egzekwie, część nabożeństwa żałobnego odprawiana przed mszą. Trwało to zwykle około pół godziny. Nie spiesząc się zeszli z wieży kościelnej i skierowali się ku wyjściu z kościoła. Na zewnątrz nieopodal kruchty, na cmentarzu przykościelnym stali mężczyźni, którzy nieśli trumnę, krzyż i chorągwie, gawędząc i paląc papierosy. Franek i Antoś z ociąganiem skierowali swoje kroki do zakrystii. Jakoś nie spieszyli się zbyt. Do rozpoczęcia mszy zostało jeszcze z pół godziny. Zauważyli na ulicy Dorotkę i jej brata. Zatrzymali się. Pierwszy zagadnął Franek.

– Chcecie zobaczyć jak się dzwoni? – zapytał i zaraz zachęcająco dodał. To chodźcie z nami na wieżę kościelną.

Propozycja wydała się Dorotce bardzo interesująca. Popatrzała pytająco na brata. Znał siostrę na tyle, że widział co oznacza to spojrzenie. Kiwnął tylko głową na zgodę. Pojawiły się jednak problemy, bo następne dzwonienie będzie, gdy kondukt pójdzie na cmentarz. Uroczystości pogrzebowe w kościele trwały zwykle około półtorej godziny, albo i więcej. Skończą się więc one około południa. Ale o godzinie dwunastej powinni być razem z rodzicami na obiedzie. Obiady jadali u pani Rekowski. Na szczęście blisko stąd do kościoła. Nie była to oczywiście żadna oficjal-

na jadłodajnia – kuzynostwo ojca Dorotki mieszkało u pani Rekowskiej, przyjęła ich zatem wyjątkowo do kompletu swoich gości na obiady. Śniadania i kolacje organizowali w swoim zakresie. Dorotka i jej brat umówili się z chłopakami, że szybko zjedzą obiad i przyjdą, aby razem wejść na wieżę.

Msza już się kończyła. Ksiądz proboszcz puryfikatorzem pieczołowicie wycierał kielich. Następnie poskładał go w podwójną zakładkę i nałożył na kielich. Potem przyszła pora na położenie pateny, a na nią palki. Ubrany w ten sposób kielich odstawił na bok i przystąpił do składania korporahu, po czym włożył go do bursy. Kielich postawił na środku ołtarza i nakrył go czarnym welonem, ustawiając tak, aby wyhaftowany symbol zwrócony był do ludzi. Na tak przyozdobionym kielichu położył bursę z korporatem. Franek, ilekroć służył do mszy, przyglądał się tym czynnościom z wielką uwagą i dziwił się, że ksiądz proboszcz nigdy jeszcze nie pomylił kolejności. Nawet się czasami zastanawiał co by tu zrobić, żeby była wpadka. Pewnie i tak nikt nie zauważyłby tego, bo ksiądz ubierał kielich na ołtarzu odwrócony plecami do ludzi. Chwilę później ksiądz przesunął się na prawą stronę ołtarza, gdzie w międzyczasie ministrant ustawił mszał. Odśpiewał po łacinie modlitwę i zakończył mszę słowami: „Requiescant in pace”, organista odpowiedział: „Amen”.

Mąż pani Poli i wszystkie ich dzieci podczas trwania mszy klęczeli na ganku za trumną. Teraz zasiedli w ławkach po prawej stronie nawy. Organista pospiesznie schodził z chóru, aby zdążyć na końcowe modły przy trumnie. W zakrystii ksiądz proboszcz zmieniał szaty liturgiczne. Po chwili wyszedł przed ołtarz ubrany w komżę i kapę w asyście ministrantów. Wacek niósł kociołek ze święconą wodą i kropidło, Franek kadzidło, a Antoś naczynie z potłuczonym drobno bursztynem. Po przyklęnięciu przed ołtarzem zeszli do nawy poza balustradę. Ministranci klęknęli na najniższym stopniu, zaś ksiądz proboszcz ukląkł przy kratkach i oparł się o balustradę. Rozpoczął odmawiać zdrowaśki za zmarłych. W ręku miał spory plik kartek. Zbierał je wcześniej organista podchodząc do siedzących w ławkach. Niektórzy mieli już wypominki napisane, inni dyktowali mu, a on spisywał uważnie, aby ksiądz proboszcz nie miał trudności z odczytywaniem. Działo się to wszystko przed mszą, kiedy ksiądz proboszcz jeszcze siedział w konfesjonale i słuchał spowiedzi. Teraz wszyscy w kościele klęczeli i modlili się. Nie było kartki, gdzie nie wspomiano by pamięci pani Poli.

– Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie – po trzykroć powiedział ksiądz – a światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki – odpowiadali ludzie w kościele.

– Niech odpoczywa w pokoju wiecznym. Amen.

Ksiądz proboszcz wstał z klęczek i przystąpił do ceremoniału poświęcenia i okadzenia trumny. Gdy te czynności zostały dokonane, organista zaintonował po łacinie hymn. Jego słów oczywiście nikt nie rozumiał, ale był to sygnał dla tragarzy, że trzeba się wziąć do pracy. Niektórzy z nich odstawiali świeczniki z gromnicami na bok, aby nie przeszkadzały przy odwracaniu trumny, inni brali wieńce, którymi obłożone były mary podczas uroczystości i przekazywali je dzieciom. Te zaś ustawiały się w orszaku pogrzebowym w ustalonej uprzednio kolejności.

Do kościoła weszła Dorotka ze swym bratem i skierowali się ku schodom wiodącym na chór. Wolno wchodzili po stopniach przyglądając się temu, co działo się w kościele. Wszystko to było dla nich czymś nowym. Nigdy nie uczestniczyli w uroczystościach pogrzebowych na wsi. Dorotce przypomniały się jakieś niejasne obrazy z pogrzebu jej dziadka. Była wówczas małym dzieckiem. A poza tym, było to w kaplicy cmentarnej. Pamiętała tylko, że było bardzo ciasno i wszyscy byli ubrani na czarno. Zaś tutaj w kościele. Przestrzeń. Zapach kadzideł. Rozmodleni ludzie. Uroczysty nastrój. Szczególnie pieśń, którą śpiewał organista, a teraz włączył się ksiądz proboszcz. Śpiewali razem. Łacina dodawała śpiewanej melodii specjalnego kolorytu. Niby smutna, a jednak kojąco łagodna. Gdzieś tam, gdzie idzie

dusza musi być bardzo błogo, pomyślała. Stali ciągle jeszcze z bratem na schodach zasłuchani i wpatrzeni. Obserwowali z uwagą jak w głównym przejściu formuje się orszak pogrzebowy. Ośmiu mężczyzn, po czterech z każdej strony chwyciło mary i uniosło ku górze, aby umieścić je na swoich ramionach. Musieli wykonać obrót, tak aby nogi zmarłej skierowane były ku wyjściu. Uważnie przyglądał się tym manewrom brat Dorotki.

– Spójrz – powiedział. – Koronka wokół trumny, w niektórych miejscach jest dziwnie zbrązowiała.

Dorotka nie zareagowała na uwagę brata.

Boczną nawą z prawej strony szybko przemieszczali się Franek i Antoś. Wreszcie dotarli do schodów. Po schodach sadzili po dwa stopnie. Przynaglili stojących na schodach Dorotkę i jej brata, aby szybko pobiegli za nimi na górę. Mieli do pokonania trzy kondygnacje wieży. Musieli się tam znaleźć jak najszybciej, by rozpocząć dzwonienie, wtedy gdy kondukt znajdzie się na ulicy przed kościołem. Dopadli do sznurów i zaczęli ciągnąć. Dzwony z wolna nabierały rozkołysu. Największym dzwonił Franek, średniej wielkości Antoś, a najmniejszym dzwonek brat Dorotki. Było to dla niego całkiem nowe zajęcie. Spoglądając na Franka i Antosia usiłował wykonywać podobne ruchy i trzeba przyznać, że całkiem zgrabnie mu to szło jak na pierwszy raz. Po chwili Franek

kazał Dorotce podejść do okna i zobaczyć, gdzie jest kondukt żałobny. Podeszła odważnie do okna – nie miała lęku przestrzeni. Spojrzała na dół. Nie była to duża wysokość, a jednak ludzie wydali się jej dziwnie mali; ponadto patrząc na nich z góry i pod kątem zauważyła, że mieli proporcje nieco zdeformowane. Jedynie trumna miała normalne kształty, ponieważ patrzyła na nią prostopadle z góry. Odpowiedziała kolegom, że wszystko w porządku.

– Dzwonście, dzwonście... jeszcze nie doszli do zakrętu.

Przykucnęła swobodnie przy oknie i zaczęła przyglądać się otoczeniu. U organisty na podwórku, tuż przed budyneczkiem gospodarczym, w niedużej niecce było gnojowisko, w którym taplały się kaczki. Po podwórku dostojnie przechadzały się kury dziobiąc trawę. Zdziwiła ją ich wielkość. Nawet zwróciła się do chłopaków z zapytaniem.

– Dlaczego kury u organisty na podwórku są takie małe?

Chłopcy zbyli ją śmiechem.

– Przyjrzyj się dokładnie – powiedział Antoś.
– A może to są kurczaki.

– Ty, nie rób ze mnie idiotki – odburknęła. – Nawet ja miastowa wiem, że w środku lata nie mogą to być kurczaki.

Spojrzała dalej na sąsiednie podwórko przy starym domu pokrytym strzechą, a i tam kury nie były więk-

sze. Również na niewielkim placu z dwoma wolno stojącymi drzewami owocowymi kury były tej samej wielkości, co u organisty na podwórku. Podniosła wzrok dalej. Rozciągała się piękna panorama północnej części Swarzewa, a dalej bezkres pól zbożowych i długich zagonów ziemniaków i czegoś jeszcze, czego nie była w stanie z tej odległości rozpoznać. Chciała się dowiedzieć od któregoś z chłopaków co to jest, ale oni byli zajęci dzwonieniem i nie mogli podejść do okna. A poza tym jakakolwiek rozmowa była bardzo utrudniona. Dzwony, które wisiały o niecałe dwie kondygnacje wyżej zagłuszały wszelkie rozmowy. Czuło się dzwonienie nie tylko w uszach, ale w piersiach, w głowie i w sercu. Te dźwięki przyspieszały bicie serca. Nie pozostało Dorotce nic innego jak cierpliwie poddać się presji dzwonów i patrzeć na to, co dzieje się na dole. Kondukt już mijał kapliczkę przy drodze do Łebcza i wchodząc na szosę zablokował przejazd na szosie. Od strony Władysławowa stał przed skrzyżowaniem jeden samochód osobowy. Była to zuczkwata warszawa. Dorotka podeszła do Franka i powiedziała mu na ucho.

– Oni weszli już na szosę. Idą jakby coraz szybciej.

Franek z tego bardzo się ucieszył. Zostało już znacznie mniej niż połowa drogi. Chłopcy byli bardzo zmęczeni dzwonieniem. Antosiowi, któremu przypadł w udziale największy dzwon, spływał z czoła pot.

Wycierał go sobie rękawem, wykonując od czasu do czasu zamaszty ruch lewą ręką.

Kondukt ruszył spod kościoła. Co jakiś czas ksiądz proboszcz intonował po łacinie odpowiednie wersety psalmu, na które odpowiadał mu organista. Zebrani ludzie szli za trumną w milczeniu. Na bezchmurnym niebie ostro grzało lipcowe słońce. Wszystkim dawał się we znaki upał, szczególnie mężczyznom ubranym w czarne garnitury, białe koszule zapięte pod szyją i mocno dociśnięte krawatem. Ośmiu tragarzy niosących trumnę szło miarowym krokiem. Pierwszy z lewa nadawał tempo. Nie mogli iść zbyt żwawo, gdyż odległości między nimi były nieduże. Tak więc szybkość przemarszu całego konduktu musiała być dostosowana do nich. Umiejętność takiego marszu wcale nie jest sprawą prostą. Ta ósemka знаła się doskonale i dlatego rzadko dopuszczali nowicjusza. Dziś była to stara gwardia, która już niejednego nieboszczyka odprowadzała na wieczne odpoczywanie. Każdy z nich chciał jak najlepiej przysłużyć się pani Poli w jej ostatniej drodze. Bez trudu utrzymali miarowy krok, w wyniku czego trumna na ich ramionach wykonywała równy wahadłowy ruch. Raz w prawo, raz w lewo.

– Czëjesz tã to samo co jô? – powiedział środkowy z lewej strony.

– Mie so widzi, że tam w zarku cos jakbë chlaboteje – odpowiedział idący przed nim.

Rzeczywiście pozostali tragarze mieli również podobne spostrzeżenia.

– Ona je gwesno pęklô. Czejeta wa tę brzëdkô woniô? Ma muszima tera jic chutko.

Usiłowali rzeczywiście przyspieszyć kroku. Zdziwiło to nieco księdza proboszcza, dlaczego naraz tragarze prawie nacierają na niego. Zaskoczony tym nieco, również starał się iść szybciej. Organista, który zorientował się w sytuacji, szepnął księdzu na ucho i wyjaśnił co się dzieje. Ksiądz proboszcz obejrzał się za siebie i zobaczył przerażone miny tragarzy. Sytuacja stała się dramatyczna. Kondukt wchodził właśnie na szosę. Co prawda zostało już mniej niż pół drogi do przebycia. Jednak nie wiadomo było na ile dobrze jest wykonana trumna. Czy szparami nie zaczną wydobywać się płyny? Organista szybko przemieścił się na czoło konduktu i nakazał panu Zenonowi, który niósł krzyż, aby szedł szybciej. Za nim przyspieszyli kroku chorągwiarze. Dziewczyny z feretronem też starały się iść szybko, w wyniku czego pogubiły krok i obraz wykonywał dziwnie szarpane ruchy. Zdziwione dzieci, które niosły wieńce, poganiane przez dorosłych prawie biegly, od czasu do czasu się potykając, bo ciężar niektórych wieńców nie pozwalał im utrzymać równowagi przy nierównym biegu. Idąca za trumną w głębokim zamyśleniu rodzina zobaczyła, że trumna coraz szybciej się oddala i dystans między nimi a czołem konduktu

staje się coraz większy. Zaskoczeni, pytającym wzrokiem popatrzeni po sobie i również przyspieszyli kroku. Starsze kobiety nie mogły nadażyć. Wszystko to spowodowało, że kondukt za trumną rozrzedził się i rozciągnął na długim odcinku.

Nikt z niosących trumnę nie miał w swoim wieloletnim stażu takiego przypadku. Nie wiedzieli jak reagować. Mdlilo ich, gdy sobie pomyśleli co dzieje się w trumnie. Wydawało się, że trumna jest coraz cięższa, a podczas marszu rozkołys był coraz większy.

– Dôma mẽ radę doniesc ję na smyntôrż? – zapytał swoich kolegów jeden z tragarzy.

– Chłopi, głowe do gôre. Ma muszima – odpowiedział inny.

Przerażenie spotęgowało się na ich twarzach, gdy zauważyli, że koronka wystająca z trumny nabiera zabarwienia żółtawo-brązowego i staje się coraz bardziej wilgotna. Na czoła niektórym z nich wystąpiły krople potu. Na domiar złego słońce piekło niemiłosiernie. Znikąd powiewu wiatru. Jedyne drzewa przydrożne dawały trochę cienia. Już dochodzili do cmentarza, gdy z lewej strony na marach pokazała się wilgoć. Czyżby trumna była nieszczelna? A może to tylko kilka kropel, które spadły z przesączonej koronki. Na szczęście nie zauważyli tego niosący. Ich wzrok był wlepiony w bramę cmentarną. Oby jak najszybciej ją przekroczyć.

Dotarli w końcu do mogiły, która na szczęście usytuowana była niedaleko głównej alei. Postawili mary w bliskiej odległości od wykopanego dołu. Dochodzący żałobnicy z przerażeniem patrzeli na dziwną wilgoć, którą pokryte były mary. Ksiądz proboszcz ponaglał tragarzy, aby jak najszybciej umieścili trumnę w ziemi. Zwykle trumna ustawiana była na dwóch podporach nad otwartą mogiłą na czas modlitw i ewentualnej mowy pogrzebowej. Jednak tym razem po zdjęciu pasów, które przytrzymywały trumnę na marach, czterech mężczyzn ujęło ją za uchwyty i przeniosło do otwartego dołu. Postawiło ją na podporach i złapało za liny wcześniej przygotowane przez grabarza. Dopiero wtedy zauważyli, że mają mokre dłonie. Jeden z tragarzy lekko zachwiał się i lina wysunęła mu się ze śliskich dłoni. Trumna upadła przednim szczytem na dno dołu, wydając głuchy dźwięk. Z ust ludzi stojących bliżej wydobył się w tym momencie głośny jęk. Stali osłupiali z otwartymi ustami, jakby z trudem łapali powietrze. Na szczęście lina była dostatecznie długa i cała nie wpadła do dołu. Stojący bliżej dołu widzieli jak ze szpary między dnem a wiekiem trumny wydobywały się stróżki żółtawej cieczy. Zrobił się dziwny zaduch. Ludzie zaczęli odsuwać się od mogiły.

Dzwony na wieży kościelnej umilkły. Chłopcy byli bardzo zmachani, ledwo łapali powietrze. Do-

rotka podeszła do przeciwległego okna. Miała przed sobą jak na dłoni całą wieś. Z fascynacji widokiem Swarzewa od góry wyrwał ją Antoś proponując, aby wejść wyżej. – Tam są dopiero widoki – powiedział. Propozycja została przyjęta i cała czwórka zaczęła wspinać się po schodach. Po minięciu kolejnego poziomu zaczął im się odstaniać szczyt wieży. Była to misterna konstrukcja, pod różnym kątem ułożonych belek, zwężająca się ku górze. W gęstwinie tej zawieszono były trzy dzwony. Jeden z nich, ten największy, był usytuowany najbliżej schodów. Dorotka i jej brat stali właśnie na schodach i zadzierali z wielkim zaciekawieniem głowy do góry. Wszystko, co widzieli było nad wyraz zadziwiające. Po raz pierwszy w życiu mieli okazję zobaczyć zawieszono na wieży kościelnej dzwony. Weszli wyżej, ale już tam nie było żadnego pomostu. Na szczycie schodów zrobiło się bardzo ciasno. Franek precyzyjnie się między belkami i znalazł się tuż przy dużym dzwonie. Brat Dorotki podążał za Frankiem. Na schodach zostali Dorotka z Antosiem. W tym miejscu było co prawda okno, ale bez szyb. Było ono wypełnione ustawionymi pod kątem listewkami. W prześwitach między nimi widać było jedynie cmentarz przykościelny i niewiele więcej. Antoś wytłumaczył Dorotce dlaczego nie ma szyb w oknach.

– Jak dzwony biją, to dźwięk rozchodzi się bez przeszkód, a te listewki w oknach są tak ułożone,

żeby nie padało do środka. – Dorotka ze zrozumieniem pokiwała głową. Następnie skierowała wzrok na dzwony.

– Chcesz dotknąć dzwonu? – zapytał Antoś. – Wystarczy tylko sięgnąć ręką.

Dorotka spojrzała na Antosia. W jej wzroku była jakaś błogość i zażenowanie. Było to spojrzenie małej, ciekawej otoczenia dziewczynki. Wziął jej dłoń i razem wyciągnęli ręce w kierunku dzwonu. Od dzwonu oddzielały ich belki. Trzeba było się nachylić w jego kierunku. Dotknęli powierzchni metalu – był gładki i zimny. Antoś poczuł się dziwnie. Błogie ciarki przeszły go po grzbiecie, gdy Dorotka wtuliła się w niego. Czuł jej bliskość. Trzymali długo wyciągnięte prawe ręce. Antoś ciągle trzymał w swojej dłoni dłoń Dorotki. Ocknęli się, gdy nagle usłyszeli lekki dźwięk dzwonu. Brat Dorotki, aby wyrwać ich z tej pozy, delikatnie uderzył palcem w dzwon. Antoś cofnął szybko rękę odsuwając się od Dorotki. Czuł, że wystąpiły mu ostre rumieńce na twarzy.

Franek wyłonił się także z pomiędzy belek. Nie zauważył jednak tego co widział brat Dorotki.

– Zejdźmy na dół – zaproponował. – Pokażę wam jeszcze coś ciekawego.

Zeszli dwie kondygnacje niżej, na poziom, gdzie uprzednio dzwonili. Było to pomieszczenie dość przestronne, jednak sporo miejsca zajmowały schody. Również dużo miejsca zajmował otwór w podłodze,

który otoczony był barierką. Tam zaczynały się schody na kondygnację poniżej. Na trzech ścianach były centralnie osadzone okna, a na czwartej ścianie znajdowały się szerokie drzwi. Franek podszedł do nich i je otworzył. Za drzwiami odsłonił się widok na strych kościoła. Przez środek prowadziła dość wąska płaska kładka, a po bokach stromo ułożone były deski, które sięgały do bocznych ścian. Panował tam swoisty półmrok. Nieco światła docierało przez niewielkie okienka w dachu kościoła. Franek dał kilka kroków przed siebie. Antoś oparł się o ścianę.

– Chodźcie dalej – zaproponował Franek. Brat Dorotki poszedł za Frankiem. Antoś w dalszym ciągu stał przy ścianie. Dorotka miała ochotę pójść za chłopakami. Zatrzymała się jednak przy Antosiu i spojrzała pytająco na niego.

– Jeżeli chcesz, to idź z nimi. Ja tu zaczekam – powiedział Antoś.

– A dlaczego nie chcesz iść dalej?

– Wstyd się przyznać, mam lęk przestrzeni – odpowiedział i zrobił się czerwony jak burak. Sam się zdziwił, że tak łatwo to powiedział. Nikomu przedtem nie przyznał się, że ma taką przypadłość.

– Nie martw się, ja zostanę z tobą. Podeszła do niego, złapała za rękę i odsunęła go od wejścia. Stanęli obok. Antoś oparł się o ścianę i zamknął oczy. Po chwili poczuł na twarzy lekki oddech. Oczu nie otworzył. Na jego ustach spoczęły wargi Dorotki.

Po wielu próbach umieszczono trumnę w dole, ale i tak ułożona była nierówno. Tragarze byli wykończeni. Nie tylko wysiłek fizyczny, nietypowy tym razem, i zdenerwowanie były przyczyną zmęczenia, ale dodatkowo jeszcze ten straszny upał. Zwykle na cmentarzu był przewiew. Jest przecież położony na otwartej przestrzeni. Tego jednak dnia listek na drzewie nie drgnął, a z nieba lał się żar. Twarze tragarzy były błyszczące z potu i brązowobrudne. Przy wielokrotnym podnoszeniu i opuszczaniu trumny wydobywająca się z niej ciecz rozbryzgiwała się na boki. Ręce mieli całkiem utyłane w rozmoczonej glinie.

Przez wiele dni potem opowiadano we wsi, o tym co działo się na cmentarzu, gdy chowano panią Polę. Mówiono, że nie chciała iść do ziemi, bo nogi zostały w górze. Krążyły pogłoski, że nocą przez kilka dni unosiła się jakaś szara postać nad mogiłą pani Poli.

= = =

W jedynym we wsi sklepie zbierało się coraz więcej ludzi. Czoło kolejki zaczęło się formować od rana. Niektórzy stali już od kilku godzin. Chleb zwykle przywożono około drugiej, trzeciej po południu. Był to wypiek z dziennej zmiany. Czasami zdarzało się, że dostarczono wcześniej wypiek

z nocy i wówczas dla spóźnialskich nie starczało już pieczywa. Szczególnie latem był to poważny problem. Przydział pieczywa przypadający na sklep w Swarzewie wyliczony był w oparciu o liczbę stałych mieszkańców. Mimo skrupulatnie przestrzegane go rygoru meldowania się wczasowiczów w urzędzie, planiści regionalni nie byli w stanie sobie z tym poradzić. Prywatne piekarnie już dawno były zlikwidowane, a państwowe miały określony limit wypieku, którego nie można było przekroczyć. Gdyby nawet zwiększono wypiek chleba latem, mąki zabrakłoby już na jesieni, ponieważ roczny przydział byłby zużyty przed terminem. Na to „władza” nie mogła pozwolić. Zawłóści gospodarki planowej zwykli ludzie nie rozumieli. Za te niedogodności miejscowi obwiniali wczasowiczów. Zwali ich często „stonką”, która na nich żeruje. Z większą życzliwością do letników podchodzili jedynie ci, którzy odnajmowali im swoje pokoje. Oni mieli z tego zysk. Inni traktowali wczasowiczów jak dopust boży. Była nieduża grupa mieszkańców Swarzewa, których ten problem nie dotyczył. U Franka w domu matka sama piekła chleb w dużym piecu pod kuchnią. Nabijał się więc on z Antosia i pozostałych kolegów, że są niewolnikami, którym państwo wydziela chleb.

– Odsënita doch so od tómbachu, lëdze – podniesionym głosem w kierunku kolejki zwróciła się

pani Kowalikowa, która tego przedpołudnia zastępowała swojego męża za ladą. Z boku podchodzili inni, którzy chleba nie potrzebowali. Obsługiwała ich sprawnie, zerkając jedynie od czasu do czasu w stronę kolejki. Wydłużała się ona nad wyraz szybko. Ciekawe czy dla wszystkich wystarczy chleba, pomyślała z troską. W międzyczasie zachęcała ludzi z kolejki, aby podchodzili i zakupili wszystko inne poza chlebem teraz. Wówczas wydawanie chleba, gdy go przywiozą, pójdzie bardzo sprawnie.

Ludzie w kolejce byli zirytowani. Gospodynie denerwowały się, że posiłek nie będzie gotowy, gdy domownicy wrócą z pola. Wczasowicze, szczególnie gdy była ładna pogoda, że tracą bezużytecznie czas. Jeżeli w rodzinie byli nastolatki, to właśnie ich zadaniem było stanie w kolejce. Trwało to niekiedy trzy, cztery a nawet pięć godzin, gdy w końcu przyjeżdżał samochód z piekarni.

Antoś nie lubił tego zajęcia, ale cóż, stał cierpliwie w kolejce. Z nudów kilkakrotnie przeliczał, ile osób stoi przed nim. Zwykle wychodziło mu, że jest trzydziestym ósmym. Czasami nawet miał niższą lokatę. Za nim stało jeszcze sporo osób. Kolejka kończyła się gdzieś daleko poza sklepem, w przedsionku. Nowi, którzy podeszli niedawno stali już na zewnątrz budynku, na werandzie. To oni właśnie jako pierwsi zauważyli, że podjechał pod sklep samochód z chle-

bem. Wówczas tłum się ożywił. Porządkowano kolejność w „ogonku”.

Do sklepu pospiesznie wszedł intendent. Skierował swoje kroki do lady. W rękę trzymał zwitek papieru. Kolejka wstrzymała na chwilę oddech. W napięciu czekano odpowiedzi na pytania, jakie zwykle zadawał pan Kowalik.

– Wiele tē Janku przewioz chleba tim raza? – zapytała Kowalikowa.

W sklepie zrobiła się kompletna cisza, jakby czekano na ogłoszenie wyroku.

– Sto dwadzesca brótów – odpowiedział i odwrócił głowę w kierunku wejścia, dorzucając ze znawstwem – to nie dô wicy jak dwa bróte.

Pani Kowalikowa potwierdziła: – Na osobę najwyżej po dwa chleby. Czoło kolejki wyraźnie się ożywiło. Byli już spokojni, że dla nich chleba nie zabraknie. Stary Koziróg, który stał niedaleko drzwi, zagadnął swoją sąsiadkę z przodu: – Dzis to i tak je wiele. Wczôrô oni przewiozle blós szescdzesat brótów. Ledze bele zli, bo Kowalik sprzedowol po jednym bróce. A ten chlébek bēl kwasny a kloskowaty.

– To bēl gwesno z Pucka. Jak oni przewózają z Wieldzi Wsē, tedē on je lepszi – odpowiedziała kobieta.

Za ladą pojawił się pan Kowalik. Wobec bardzo długiej kolejki zdecydował, że rodziny wielodzietne dostaną po dwa bochenki, inni po jednym. Decyzja

została przyjęta bez szemrania. Aby przystąpić do sprzedaży, trzeba było chleb najpierw wyładować z samochodu. Zwykle był to furgon, niekiedy samochód ciężarowy. Bochenki poukładane były luzem w części bagażowej na podłodze, która wyłożona była plandeką, a czasami workami po mące.

Kierowca siedział w samochodzie i palił papierosa, znudzonym wzrokiem wodząc po ludziach, którzy stali na końcu kolejki przed sklepem.

– Pôjta chłopi pomoc zladowac chlébk – powiedział intendent. Było to hasło, na które już z przyzwyczajenia reagowali stojący w kolejce mężczyźni, zachęcając do pomocy chłopaków. Gdy trzeba było, do pracy włączały się także kobiety.

– Pôj doch tęż pomoc – zwrócił się do Antosia, starszy od niego o ponad pięć lat Leon, były ministrant. Leon przez wiele lat pełnił funkcję szefa ministrantów. Antoś był przyzwyczajony do wykonywania jego poleceń, więc bez chwili wahania wyszedł z kolejki i trochę zakłopotany rozglądał się, gdzie może zająć miejsce w formującym się łańcuszku „przerzucaczy chleba”. W sklepie chętni do pracy już się ustawili w odstępach około paru metrów od siebie. Wyszedł więc Antoś do sieni i tam stanął między Leonem i mężczyzną w średnim wieku, którzy ustawili się tyłem do kolejki. Antoś widział już wiele razy jak się ten łańcuszek ustawia, żeby chleb mógł wędrować z rąk do rąk. Stanął więc

przodem do swoich sąsiadów. Popatrzał w prawo i w lewo. Odległości były dość spore.

– Leon, przeszenie so trocha blězi do mie – poprosił swojego starszego kolegę. Bał się, że może sobie nie dać rady z łapaniem bochenków, gdy odległości będą zbyt duże.

Ruszył wyładunek. Intendent stanął na platformie samochodu i wyciągnął ze sterty dwa bochenki. Ułożył je razem płaskimi powierzchniami i podawał osobie stojącej tuż przy samochodzie. Chleb zaczął wędrować z rąk do rąk, aż do lady, skąd brała go pani Kowalikowa i układała na półkach, podliczając skrupulatnie każde kolejne dwa bochenki. Ludzie, którzy stali w kolejce znudzonym wzrokiem przyglądali się temu rytuałowi. Wiedzieli już, że niedługo chleb znajdzie się za ladą i wówczas skończy się ich udręka.

Antoś dzielnie łapał chleb rzucający mu przez Leona. Następnie wykonywał półobrót ciałem i wyrzucał oba bochenki dalej do swojego sąsiada. Trzeba było się szybko odwracać, bo już wędrowały następne dwa bochenki, które przez chwilę były w rękach Antosia i potem wędrowały dalej. Praca szła bardzo sprawnie. Jednak z czasem Antoś poczuł zmęczenie w rękach. Nawet nie wiedział jak to się stało, gdy z rąk wysunęły mu się oba bochenki i potoczyły po podłodze, niestety w różnych kierunkach. Szybko schylił się. Złapał jeden. Zdziwiony zauważył, że nie ma dru-

giego na podłodze. Podniósł wzrok. Stała przed nim Dorotka i z wdzięcznym uśmiechem wręczyła brakujący bochen. Twarz mu ze wstydu splonęła. Był tak zaskoczony, że nie wydobył z siebie głosu. Wziął z jej rąk bochen, przyłożył do drugiego, który trzymał w ręku i lekko je wyrzucając podał stojącemu obok mężczyźnie. Chleb powędrował dalej. Po chwili znalazł się na ladzie i został złożony przez Kowalikową na półce obok innych bochenków. Ten incydent nie wpłynął zbyt na płynność pracy. Taśma ruszyła dalej. Do takich incydentów, że chleb wędrował na podłogę, ludzie w sklepie byli już przyzwyczajeni. Dość często takie przypadki zdarzały się kobietom, gdy pomagały przy przerzucaniu chleba. Spotykało się to wówczas ze zrozumieniem i wywoływało śmiech wśród kolejkowiczów, szczególnie, gdy któryś z mężczyzn pozwalał sobie na jakieś niedwuznaczne docinki. Tym razem również zdarzył się taki przypadek.

Frana, gdy tylko stała w kolejce po chleb, zawsze chętnie pomagała przy jego rozładunku. Była miłą, sympatyczną, jeszcze niezamężną kobietą, o krągłych kształtach i może nieco za obfitych biodrach. Nie przeszkadzało jej to nigdy, aby być w dobrym humorze. Również dziś uśmiechnięta pracowała wytrwale. Niestety za którymś razem, gdy przyjmowała chleb, bochenki wysunęły jej się z rąk. Szybko nachyliła się sądząc, że uda się je złapać nim znajdą się na

podłódze. Niestety, przyszło jej zbierać je z podłogi. Mężczyzna, któremu miała podać chleb, podskoczył do niej i w chwili, gdy nachylona podejmowała chleb z podłogi, klepnął ją w tyłek. Frania wydała okrzyk zdziwienia, lekko się zachwiała i ponownie opuściła chleb na podłogę. Gdy go zbierała, inny mężczyzna podbiegł i zrobił to samo co poprzedni. Najbliższe otoczenie, które widziało tę zabawę zaśmiewało się do rozpuku.

– Mōże mé zagrōma wé friszwaksa z Franią – ktoś zaproponował.

– Dosc teło smiechô. Do roboté – ostro powiedziała Kowalikowa.

Wszystko wróciło do normy. Chleb znowu miarowo wędrował z rąk do rąk. Antoś czuł, że za chwilę ręce odmówią mu posłuszeństwa. Bał się, że znowu upuści chleb. Nie patrzył w kierunku, gdzie stoi w kolejce Dorotka, ale był pewien, że jest przez nią obserwowany. Wytężał wszystkie siły, aby dotrzeć do końca. Jakiż byłby to wstyd, gdyby na jej oczach przerwał pracę. Spojrzył jednak mimochodem w jej stronę i zobaczył życzliwie uśmiechniętą twarz, która wydawało mu się, mówi do niego – to już koniec. Rzeczywiście. Intendent wydał ostatnie dwa bochenki, które po chwili dotarły do Antosia. Przekazał je dalej. Odwrócił się do Leona i zdziwiony zauważył, że ten już nie ma nic w rękach. W tej chwili poczuł dopiero jak bardzo jest zmęczony, ale jednocześnie

zadowolony, że dotrwał do końca. Był z siebie dumny. Odnalazł swoje miejsce w kolejce.

Po chwili rozpoczęła się sprzedaż chleba. Kowalik znał wszystkich mieszkańców bardzo dobrze i on osobiście pilnował komu należą się dwa, a komu jeden bochenek. Wczasowicze dostawali tylko po jednym bochenku. Kolejka przesuwała się bardzo szybko. Każdy kto już zapłacił odchodził od lady uśmiechnięty i zadowolony, że ma chleb, wszystko jedno jaki by on nie był, czy wymyziany tyłoma rękoma, czy utyłany na podłodze. Również w niepamięć poszły niewygody i zmęczenie oraz stracony czas. Najważniejsze, że w domu będzie chleb.

= = =

Było wczesne niedzielne popołudnie. Pogoda nie zachęcała do pójścia na plażę. Po obiedzie rodzice Antosia ucięli sobie drzemkę. Antoś też chciał się położyć, bo zrobiło się jakoś cicho i sennie w domu. Zmienił jednak zdanie. Usiadł w kuchni przy stole, sięgnął po książkę, która leżała na oknie i zaczął czytać. Była to powieść Karola Maya „Winnetou”. Lektura wciągnęła go na tyle, że nie usłyszał lekkiego pogwizdywania na podwórku. Franek stał za oknem i czekał. Wreszcie go zauważył. Dawał mu znaki, żeby wyszedł na podwórko. Antoś długo się zastanawiał, czy wejść do pokoju i obudzić rodziców,

żeby im powiedzieć, że wychodzi, czy po prostu wyjść nie opowiadając się z tego przed nikim. Wpójone zasady nie pozwoliły mu jednak tak po prostu wyjść. Otworzył drzwi, zajrzał do pokoju. Matka już nie spała. Podeszedł więc po cichu na palcach do jej łóżka i powiedział, że czeka na niego Franek. Pójdą zorganizować potańcówkę w świetlicy. Wziął swoje płyty i tak samo cicho jak wszedł, wycofał się z pokoju.

– Ale jô za tobą długo żdol – powiedział z wyrzutem Franek, gdy w końcu Antoś pojawił się w drzwiach. Uwagę tę Antoś pominął milczeniem. Pokazał tylko, że ma kilka płyt w ręku. Kiwnął głową, żeby już szli.

Na zapleczu jedyne go wówczas w Swarzewie sklepu spożywczego, który usytuowany był naprzeciwko budynku szkoły podstawowej, mieściła się dawna sala widowiskowa, obecnie obiegowo nazywana świetlicą. Przed wojną sala ta przynależała do zabudowań karczmy, jako jeden z jej elementów. Właścicielem tej karczmy był Meyer i dlatego starsze pokolenie nie mówiło, że coś zakupili w sklepie, tylko że „küpile u Meira”. Teraz był to sklep państwowy, zrzeszony w jakiejś formule spółdzielni spożywców, czy coś w tym stylu. W niedalekim sąsiedztwie przez kilka lat po wojnie była jeszcze czynna, świetnie prosperująca, prywatna piekarnia Schroederów. Były to zabudowania przylegające

do terenów szkoły. Teraz, gdy szło się na plażę, można było zauważyć nieczynne pomieszczenia piekarni stanowiące wspólny zespół z budynkiem mieszkalnym. Tamtędy prowadziła jedyna, można powiedzieć, ogólnie dostępna droga nad morze z centrum wsi. Często korzystali z niej letnicy mieszkający w domach usytuowanych wzdłuż głównej ulicy po stronie od lądu.

Chłopcy weszli w mroczny pasaż prowadzący na wąskie podwórko. Przed nimi rozciągały się na całej długości zabudowania stajenne zbudowane z dobrej czerwonej cegły. Z tyłu pozostała obszerna stodoła z dużymi wrotami. Z lewej strony były zabudowania mieszkalne, w których między innymi mieszkał pan Kowalik, kierownik sklepu, wraz z rodziną. Podwórko u szczytu rozszerzało się tworząc jakby literę L i właśnie u jej podstawy była dobudówka z czterema oknami. Teraz wejście było jedno, na wprost długiej osi podwórka. Dawniej były jeszcze w środku drzwi łączące tę salę z innymi pomieszczeniami karczmy.

Gdy weszli do sali zauważyli, że zabawa już się rozkręciła. Było sporo młodzieży. Jak zawsze, Michał przyniósł swój przenośny adapterek. Tańczyli przy dźwiękach piosenek Marii Koterbskiej, Nataszy Zylskiej, Marty Mirskiej i Janusza Gniatkowskiego; były też poleczki i walczyki ludowe. Bardzo się ucieszyli,

gdy zobaczyli w drzwiach Antosia i Franka. Antoś miał kilka zagranicznych płyt, które udało się na jakiś czas wypożyczyć jego starszemu bratu od znajomego kolejarza. Płyty te były przemycone z Niemiec Zachodnich. Wszyscy czekali na „Ramonę” śpiewaną przez Louisa Armstronga. Nastawiono płytę. Rytm początkowe były bardzo wolne, ale końcówka szybka. Wówczas taniec zmienił się w istne szaleństwo. Usiłowano, jak kto potrafił, tańczyć rock and roll'a.

Jidzema naleśc Dorotkę, żebe ona z nami so potancowała – powiedział Franek. Antoś przytaknął głową. Wyszli z sali.

– Gdze me mdzema jij szukale? – zapytał Antoś. Franek z fantazją w głosie odpowiedział. – A może ma mdzema miele szczescé. – I rzeczywiście, ledwo wyszli na ulicę, natknęli się na Dorotkę i jej brata.

– Cześć – zagadnął Franek. – Dobrze żeśmy was spotkali; zorganizowaliśmy potańcówkę w świetlicy. Chcecie zobaczyć?

Brat Dorotki skrzywił się i miał już powiedzieć, że nie, gdy ona sama klasnęła w dłonie i powiedziała, że to wspaniała propozycja. Wiele słyszała o zabawach w remizach strażackich, które zwykle kończyły się mordobiciem. Ale to, o czym mówi Franek, jest czymś innym. Przecież to jest młodzieżowa potańcówka w świetlicy.

Chłopcy poprowadzili swoich gości poprzez zakamarki podwórka do budynku świetlicy. Dochodząc słyszeli muzykę, gdy otworzyli drzwi skończyła się właśnie płyta. Tańczące pary zaczęły się rozchodzić, dziewczyny w jednym kierunku a chłopaki w drugim. Nie było ich już wiele, więc w sali raczej było pustawo, mimo że część sali zajęta była przez podwyższenie, które służyło jako scena. Były tu czasami wystawiane sztuki teatralne, przygotowywane przez zespoły amatorskie. Michał znowu położył krążek z Armstrongiem. Antoś poprosił Dorotkę do tańca. Tańczyło się im wspaniale. Dziewczyna była zdziwiona, skąd chłopak ze wsi tak doskonale umie tańczyć. Potem puszczano inne płyty. Zmieniały się rytmy, melodie i nastroje, a oni wciąż ze sobą tańczyli. Trzeba było kończyć zabawę, bo zbliżał się czas na kolację. Umówili się, że znowu za tydzień spotkają się, żeby potańczyć.

= = =

– Widziała wa plakat wewieszony na remizy? Kino przejeżdżo we strzodę – zagadnął Michał do swoich kolegów, gdy spotkali się w zakrystii przed poranną mszą. Chłopcy bardzo się tym zainteresowali. Zwykle nie opuszczali projekcji. Latem odbywały się one na ogół raz w tygodniu, zaś poza sezonem letnim były rzadkością. Do wsi przyjeżdżało kino objazdowe obsługiwane przez Dom Kultury

w Strzelnie. Największym problemem było dowieszenie projektora. Łapano się różnych sposobów. Zwykle przewożono go przy okazji transportu towaru do sklepu. Operator i jego pomocnik dojeżdżali wówczas na motocyklu tuż przed rozpoczęciem projekcji.

– Wiiesz tę kogó ma muszima zachloscec cobe z nami szed na fylm? – Franek zwrócił się do Antosia. Oczywiście Antoś domyślił się, że chodzi o Dorotkę. Sam przed sobą nie chciał się przyznać, że ostatnio jego myśli krążyły wokół niej. Złapał się dzisiaj podczas mszy na tym, że mówiąc po łacinie ministranturę przypomniał sobie jak było mu dobrze z Dorotką na wieży kościelnej. Wydawało mu się, że ciągle czuje ciepło jej ust na swoich wargach.

Dzisiaj miano wyświetlać francuski film „Czarownica” z Mariną Vlady w roli tytułowej. Na plakacie było napisane, że projekcja rozpocznie się o wpół do dziewiątej. O tej porze było już dostatecznie szaro, by projekcja mogła się rozpocząć bez specjalnego zasłaniania okien. Zresztą nawet nie było czym ich zasłonić. Już przed ósmą stało sporo młodych ludzi przed drzwiami do świetlicy. Miejsc siedzących w sali było niewiele. Ławki, które w czasie potańcówki stały pod ścianami na czas seansu filmowego ustawiało się w poprzek na sali. W grupie oczekujących na wejście stali Franek, Antoś i Dorotka.

Parę minut przed ósmą drzwi się otworzyły. Stało w nich dwóch mężczyzn. Jeden z nich sprzedawał

bilety, a drugi je kasował. Tłumek przed wejściem zakołysał się. Zaczęło się nerwowe nawoływanie tych z tyłu, aby ci co już weszli na salę zajmowali im miejsca. Inni odkrzykiwali, że żadnego zajmowania miejsc nie będzie. Ktoś ze środka otworzył okno i co bardziej zwinni wskakiwali do środka. Panowie bileterzy zirytowali się. Zaprzestali sprzedaży biletów. Tłum napierał i zaczął wlewać się do środka. Również z tą falą Antoś z Dorotką dostali się na salę. Zaczęło się nerwowe bieganie za miejscem. Udało im się usiąść obok siebie w drugiej ławce. Rozejrzeli się wokół. Dopiero po chwili Dorotka zauważyła Franka siedzącego na parapecie okna znajdującego się mniej więcej na ich wysokości. Pomachali do siebie rękoma.

– Zobacz Antoś, tam na oknie siedzi Franek – zagadnęła Dorotka.

Część widzów siedziała na podłodze. Parę minut po ósmej zaczęli wchodzić nowi, przeważnie z własnymi krzesłami i taboretami. Ustawiali je na wolnej przestrzeni z boków i z przodu przed ławkami. Zrobiło się tłoczno. O wpół do dziewiątej jeden z bileterów zamknął drzwi na klucz i obaj przystąpili do kasowania za wstęp od osób, które weszły na salę w zamieszaniu. Szło to bez większych problemów. Przeważnie każdy miał odliczoną kwotę. Po chwili rozległ się specyficzny brzęk przesuwanych szpul na projektorze. Nie było żadnego ekranu.

Film wyświetlany był na ścianie przy wejściu do sali. Była to dość duża jednorodna powierzchnia. Najpierw pokazały się jakieś przesuwające się plamy. Potem obraz się wyklarował i pojawiły się napisy, a następnie zaczęła się akcja. Sala się uciszyła. Oczy wszystkich skierowane były na ekran. Niektórzy ze stałych bywalców dziwili się na głos, dlaczego nie pokazuje się najpierw kroniki filmowej. Operator odkrzyknął, że była wyświetlana już tydzień temu, a nowej jeszcze nie ma.

Akcja na ekranie rozwijała się wartko. Antoś wpatrywał się z uwagą w ekran, jakby zapomniał całkiem, że obok siedzi Dorotka. Napięcie na sali zaczęło rosnąć, gdy główny bohater znalazł się na mokradłach. Nie dość, że nie mógł się z nich wydostać, to zaczął się wolno w nie zapadać. Naturalizm ujęcia był tak wielki, że widzowie byli przerażeni. Przerażenie to również udzieliło się Dorotce. Złapała się oburącz dłoni Antosia i mocno się do niego przytuliła. Naraz na ekranie pojawiła się stara kobieta, która stanęła na brzegu mokradła, rzuciła linę w kierunku topielca, któremu już wystawała tylko głowa i ramiona. Linę zamocowała na grubej gałęzi opodal rosnącego drzewa. Mozolnie wyciągając się po linę bohater wydostał się na ląd. Napięcie na sali opadło. Widzowie odetchnęli głęboko. Bohater został uratowany. Akcja filmu potoczyła się dalej. Jednak Antoś z Dorotką w dalszym ciągu siedzieli wtuleni

w siebie trzymając się za ręce. Patrzeli na ekran, ale nie bardzo wiedzieli co tam się dzieje; czuli tylko siebie. Od czasu do czasu wybuchał tłum widzów śmiechem, gdy główny bohater poddawany czarom córki starej kobiety, która go uratowała, przewracał się na prostej drodze. Oni we dwójkę byli tak sobą zajęci, że nie rozumieli reakcji tłumu. Franek od jakiegoś czasu przyglądał się im. Teraz zrozumiał, że coś się zawiązało między Dorotką a Antosiem. Poczul się dziwnie. Ścisnęło go w dołku. Szkoda, że to nie ja siedzę teraz przy Dorotce, pomyślał.

Naraz obraz zniknął, a na ekranie pozostał jedynie snop światła z projektora. Przez chwilę słychać było przyspieszony warkot kręcącej się szybko szpuli. Zapalono światło. A oni ciągle jeszcze siedzieli wtuleni w siebie. Po chwili się ocknęli. Dorotka zapytała co się stało. Antoś wytłumaczył jej, że to normalne. Taśma filmowa się zerwała i trzeba ją nawinąć od nowa. Rzeczywiście operator z dostojeństwem wkładał taśmę w odpowiednie zakamarki projektora, potem założył na szpulę nawijającą, przekręcił ją palcem o dwa obroty i włączył projektor. Obraz znowu pokazał się na ścianie. Zgaszono światło. Akcja filmu toczyła się dalej. Proceder ten powtarzał się zwykle kilka razy podczas projekcji. Jeżeli taśma nie była poprzerywana, to i tak jedna przerwa odbyć się musiała – filmy były nagrane zwykle na dwóch szpulach, a czasami nawet na trzech.

Gdy film się skończył, na dworze już było ciemno. Dochodziła jedenasta. W drzwiach wejściowych zrobił się zator. Młodzi wyskakowali przez okna. Na podwórku tłumek gęstniał. Trudno było przesuwac się tym, którzy nieśli stołki lub krzesła. Franek już dawno zdążył opuścić salę, korzystając z okna. Antoś i Dorotka ciągle jeszcze tłoczyli się w sali kierując się do wyjścia. Wreszcie znaleźli się na zewnątrz. Dopiero teraz poczuli jak duszno było w sali. Można było nareszcie wciągnąć świeże powietrze do płuc. Tłumek po wyjściu na ulicę rozplýwał się w dwóch kierunkach.

– Myślałem, że Franek będzie tu czekać na nas – powiedział Antoś nieco zdziwiony.

– A może to dobrze, że go nie ma – dodała Dorotka.

Antoś czuł się nieswojo. Nigdy jeszcze nie odprowadzał dziewczyny sam do domu. Wahał się, czy iść z nią, czy zostawić ją w tym miejscu i pójść w swoją stronę. Właściwie we wsi nie było się czego obawiać, tym bardziej że sporo ludzi jeszcze było na ulicy. Zastanawiając się nad tym nawet nie zorientował się jak szli obok siebie w kierunku domu państwa Mudlafów. Na parę kroków przed domem zatrzymał się i zapytał, czy mogliby się spotkać tam na zboczach na polance w krzakach, ale sam na sam, we dwójkę. Dorotka kiwnęła głową na zgodę.

– Jutro o trzeciej, pasuje ci, będziesz już po obiedzie? – zapytał Antoś.

– Postaram się. Muszę coś wymyślić, żeby pozbyć się brata.

– Czy pamiętasz gdzie to było?

– Pamiętam i to bardzo dobrze. Kilka razy już tam zaglądałam.

– Będę tam na ciebie czekał. No to do jutra. Dobranoc.

Antoś zaczął odchodzić cofając się. Dorotka machnęła ręką i pobiegła do domu. We wsi zrobiło się już całkiem cicho i pusto. Jedynie słychać było poszczekiwanie psów.

= = =

Antoś był już w umówionym miejscu parę minut po drugiej. Usiadł na ziemi w przeciwnym rogu polanki, tak aby mieć na oku jedyną ścieżkę, która tu prowadziła, zresztą zarośniętą krzakami. O tej polance i dojściu do niej wiedzieli jedynie miejscowi chłopcy i ewentualnie osoby, które zostały przez nich wtajemniczone. Cała jego uwaga skierowana była na wejście na polanę. Tym razem przepiękna panorama na zatokę wcale go nie zajmowała. Myślał co zrobi, gdy pojawi się któryś z jego kolegów, a szczególnie Franek. On chciał przecież być sam na sam z Dorotką. Nie miał jak na razie żadnego pomysłu jakby ich stąd wywabić. Cokolwiek przychodziło mu do głowy absolutnie nie rokowało powodzenia. Całe szczęście,

że czas upływał, a on był ciągle sam. Jednak uwaga jego była tak napięta, że gdy usłyszał jakiś szelest w krzakach cały podskoczył i stał z oczyma wybałuszonymi i ze wzrokiem utkwionym w wylot ścieżki. Krzaki się rozsunały i na polanę weszła Dorotka. Była w stroju kąpielowym. Twarz mu się rozpromieniła. Uśmiechali się do siebie. Nie bardzo wiedzieli co z sobą robić.

– Dobrze, że jesteś. Czekałem i nie byłem pewien, czy przyjdiesz – zagadnął pierwszy Antoś.

– Jestem tam poniżej na plaży z całą rodziną. Powiedziałam, że muszę się sama trochę przejść. Całe szczęście, że brat poszedł do wody sam, bo inaczej chciałby iść ze mną. No widzisz, udało mi się przyjść do ciebie!

Antoś wyciągnął do niej dłoń. Ona podeszła do niego. Złapali się za ręce i usiedli na trawie. Po chwili przywarli do siebie, a ich usta spotkały się. Pocałunek był dość powierzchowny, jednak dla Antosia było to wielkie przeżycie.

– Przepraszam cię bardzo, ale ja będę musiała niedługo iść. – Po tych słowach Dorotki Antosowi zrobiło się jakoś smutno. Zapytał ją, czy będą mogli się tu spotykać. Dorotka wymyśliła, że najlepiej będzie, jeżeli on będzie przychodził nad morze opalać się i rozłoży swój koc w bezpośrednim ich sąsiedztwie. Antoś zamyślił się. Był z natury nieśmiały i nie bardzo mógł sobie to jakoś wszystko wyobrazić.

Następnego dnia była ładna plażowa pogoda. Przed południem Antoś miał obowiązki w domu, dopiero po obiedzie wziął koc pod pachę i udał się na plażę. Długo się wahał, czy pójść w miejsce, gdzie plażowała się rodzina Dorotki. Aby zdecydować się na taki wyczyn musiał przemóc się w sobie i pokonać swoją nieśmiałość. Chciał przecież być blisko Dorotki. Nie miał innego wyjścia, musiał tam iść.

Rozłożył swój koc na wąskim pasie piasku u podnóża łączki rozciągającej się w wyraźnym obniżeniu. Miejscowi zwali ją „böldową łączką”. Na ogół po południu miejscem plażowania rodziny Dorotki był skraj tej łączki. Koce rozkładali pod stokiem porośniętym krzakami. Było to miejsce dobrze osłonięte od wiatru, a po południu doskonale nasłonecznione. Antoś stał przez chwilę nad swoim kocem. Rozejrzał się wokół. Kilkadziesiąt metrów dalej siedziała matka z dwojgiem dzieci bawiących się w piasku. A nieco bliżej starsi państwo leżeli na kocu. Antoś zdjął koszulę i ściągnął spodnie. Na razie zostawił na nogach sandały. Popatrzał jeszcze raz w górę na łączkę. Nikogo tam nie było. Położył się. Nie interesowało go oczywiście opalanie. Czekał na Dorotkę. Zamknął oczy. Przeżywał wciąż spotkanie na polanie.

– Cześć Antoś – wyrwała go z zadumy Dorotka, która razem z swoim bratem stała nad nim. – Idziemy do wody. Chodź z nami. – Antoś ocknął się. Zmrużonymi oczyma spojrzął na nich. Oparł się na

łokciu i zapytał. – Teraz idziecie? – Tak, chcemy się trochę ochłodzić. Jest straszny upał – odpowiedział brat Dorotki.

Antoś zdjął sandały z nóg i podążył za nimi. Matka Dorotki stojąc nad dość stromym zboczem, jakim kończyła się łączka, wołała do dzieci, żeby nie były zbyt długo w wodzie, bo niedawno zjadły obiad. Brat Dorotki wbiegł do wody chlapiąc pozostałych. Oni nie pozostali dłużni. Zaczęła się istna wojna wodna. Całkiem zmoczeni pobiegli dalej. Gdy woda sięgała wyżej kolan dalszy bieg był już prawie niemożliwy i zaczęli padać do wody prycając i śmiejąc się tak donośnie, że aż słyszeli to ich rodzice. Popluskali się trochę i wstali. Szli przed siebie. Woda była całkowicie przezroczysta. Patrzeli na stopy, spod których przy stawianiu kolejnych kroków podnosił się drobny piasek. Dno było piaszczyste, twarde, jednak niekiedy natrafiało się na grząskość. Wówczas było porośnięte roślinami wodnymi o wąskich liściach. Czasami w tych rejonach stopy wpadały na kilka centymetrów w głąb. Było to uczucie niezbyt przyjemne.

Poszli bardzo daleko. Woda sięgała im do szyi. Była to najlepsza głębokość do swobodnego pływania. Znaczący mówili, że na tej dopiero głębokości woda niesie. Antoś owszem pływał, ale wolał mieć świadomość, że w każdej chwili może stanąć na dnie. Dlatego też nie płynął przed siebie

w kierunku otwartego morza, a kierował się wzdłuż brzegu. Dorotka i jej brat dali jeszcze kilka kroków idąc na palcach. Dalej dno szybko zaczęło opadać i woda przybierała ciemniejsze zabarwienie. Granica ta bywa łatwo zauważalna z brzegu, szczególnie w słoneczny dzień. Miejscowi mówią, że „tam na czôrnij wodze to trzeba jô dobrze plwac”.

Dorotka i jej brat płynęli przed siebie. Po chwili dziewczynka zorientowała się, że Antoś pozostał z tyłu, zawróciła i podpłynęła do niego. Zatrzymali się, stanęli i złapali się za ręce pod wodą. W pobliżu nikogo nie było. Nie mogli jednak się przytulić. Musieli zachować pozory. Stali więc w pewnej odległości od siebie. Z wody wystawały jedynie głowy. Jednak ręce zanurzone pod wodą zaczęły wędrować wzajemnie po ciele. Antoś dotykał piersi, bioder i aby sięgnąć niżej nurkował od czasu do czasu. Dorotka również odwzajemniała te pieszczoty. Trwało to dość krótko, bo zbliżał się brat. Popłynęli jeszcze trochę wzdłuż brzegu, potem skierowali się w jego stronę. Woda bliżej brzegu stawała się cieplejsza. Odczuwali wyraźnie różnicę między temperaturą powietrza, a temperaturą wody. Gdy woda sięgała im do kolan zanurzyli się całkowicie kładąc się na dnie. Było bardzo miło. Należało jednak w końcu wyjść. Odpłynęli spory kawałek w kierunku na północ. Musieli się cofnąć. Wracali więc do siebie wzdłuż brzegu uderzając stopami

w wodę, wywołując rozbryzgujące się fontanny. Było im wesoło, a Antoś był naprawdę szczęśliwy.

Dorotka z bratem poszli na łączkę do rodziców, a Antoś został sam przy swoim kocu. Nie miał ręcznika. Zapomniał wziąć, a może nie planował kąpieli. Nie miał również na zmianę suchych kąpielówek. Stał na piasku i ociekał z wody. Zrobiło mu się zimno. Wyciskał dłońmi wodę z włosów. Po paru minutach skóra stawała się już sucha, a woda zbierała się na niej w postaci dużych kropeł, które strzepywał ręką. Najgorzej schły kąpielówki. Leciąca z nich ciągle woda. Zwykle, gdy kąpali się z kolegami, to po wyjściu z wody znajdowali osłonięte miejsce w krzakach, gdzie zdejmowało się kąpielówki, wyżymało i zakładało z powrotem. Potem można było spokojnie leżeć na kocu, ale i tak pod tyłkiem zawsze jeszcze robiło się wilgotno.

Antoś liczył na to, że Dorotka przyjdzie na brzeg, gdy tylko się przebierze w suchy strój. Trzeba się jakoś osuszyć, pomyślał. Pobiegł więc w kierunku nieopodal rosnących krzaków, żeby znaleźć odpowiednią kryjówkę. Chciał to zrobić szybko, żeby Dorotka nie musiała czekać na niego gdy przyjdzie. Wbiegł więc na znaną mu ścieżkę. Musiał się wspiąć na górę, bo krzaki porastały strome zbocze. Stanął wygodnie na płaskim odcinku ścieżki. Rozejrzał się wkoło. Spojrzał na dół. Stwierdził, że z brzegu, a i po części z wody, jest niewidoczny. Ściągnął kąpielówki. Na

wszelki wypadek lekko przykucnął, żeby nie rzucać się zbyt w oczy. Oburącz wykręcał majtki, gdy nagle usłyszał z boku jakiś szelest. Spojrzał i w trakcie tuż przy jego stopach zobaczył coś wijącego się. Przerażony wyskoczył stamtąd i nawet nie wiedział w jaki sposób znalazł się na brzegu, trzymając w ręku zwinięte po wyżymaniu kąpielówki. W jeszcze większe zadziwienie wpadł, gdy zauważył, że przed nim stoją Dorotka i jej brat. Widok, jaki im się pojawił był tak wielkim zaskoczeniem, że przystanęli jak wryci, a po chwili zaczęli się zataczać ze śmiechu. Antos wówczas zorientował się, że stoi przed nimi cały goły. Szybkie zakładanie kąpielówek jakoś mu nie szło. Raz i drugi zatoczył się. Całe szczęście, że nie przewrócił się do wody. Czuł się bardzo głupio.

– Nie przejmuj się – usiłował uspokoić go brat Dorotki. – Dora widziała już nieraz gołego chłopaka.

Dorotka podeszła do Antosia i wzięła go za rękę.

– Weź swoje rzeczy i chodź do nas na łączkę. Tam się trochę ogrzejesz. Antos pozbiierał ubranie, sandały i koc.

W miejscu, gdzie leżały jego rzeczy nie było już słońca. Schowało się ono za zbocze. Tak więc chętnie przystał na złożoną mu propozycję. W drodze opowiedział im o całym zajściu. Jego zdaniem była to żmija. Brat Dorotki żartował sobie, że pewnie chciała go ukąsić w intymne części ciała. Rozbawieni tym

zartem szli w kierunku rodziców. Matka siedziała na kocu i czytała książkę, a ojciec leżał na brzuchu. Gdy podeszli lekko podniósł się i oparty na łokciu oczekiwał wyjaśnień.

– To jest Antoś. Miejscowy kolega. Poznaliśmy go w czasie odpustu – wyjaśniała Dorotka.

– Zaproponowaliśmy mu żeby rozłożył swój koc koło nas. Może? – zapytał brat Dorotki.

Antoś został przyjęty z wielką gościnnością. Matka Dorotki poczęstowała go ciasteczkami i zaczęła wypytywać o różne szczegóły, przede wszystkim dotyczące jego. Po chwili żałował, że tu przyszedł. Nie lubił mówić o sobie, a tu nie ma wyjścia, musi się uzewnętrzniać. Wreszcie Dorotka przerwała ten potok pytań, zwracając matce uwagę, żeby nie była taka wścibska. Ojciec stwierdził, że córka nie powinna zwracać się tak do matki. Jurek nie wytrzymał i wrzasnął, aby przestali się kłócić; on już ma tego dość. Zawstydzął ich, żeby się powstrzymali z tym ujadaniem na siebie ze względu chociażby na gościa, którego poprosili. Wszyscy zamilkli. Matka sięgnęła po książkę, która leżała obok na kocu. Nie otworzyła jej jednak. Po krótkiej chwili odezwała się, gdyż uważała, że to niezbyt grzecznie, aby w obecności gościa czytać książkę. Zaczęła więc znowu zadawać pytania. Brat Dorotki zirytował się na dobre.

– Chodźcie – zwrócił się do młodych – idziemy się przejść, bo inaczej nigdy nie skończy się potok tych beznadziejnych pytań.

Wstali z koców i skierowali się w stronę zachodzącego słońca. Musieli wspiąć się po ostrej stromiźnie i znaleźli się w okolicach wejścia na znaną im polankę. Bez słowa wiedzieli, że tam chcą iść. Pierwsza weszła Dorotka, za nią jej brat, a na końcu Antoś. Tuż przed wejściem na polanę nagle Dorotka zatrzymała się. Zdziwieni chłopcy prawie z rozpędu wpadli na nią i niechcący zepchnęli ją ze ścieżki.

– Co się stało? – zdziwiony zapytał Antoś.

– Popatrz, kto tam siedzi – odpowiedziała Dorotka, porozumiewawczo wykonując ruch głową w stronę skraju polany, gdzie wczoraj siedzieli we dwójkę.

Antoś spojrzał w tę stronę i zobaczył siedzącego na ziemi Franka obejmującego oburącz kolana. Patrzył na nich spode łba. Antoś znał go na tyle, że wiedział, że coś go gryzie. Ostatnio widział się z nim w kinie. Od tego czasu nie mieli okazji z sobą pogadać.

– Fajnie, żeśmy cię spotkali – powiedziała Dorotka, rozładowując w ten sposób dziwną sytuację. Franek wstał i skierował się do ścieżki.

– Co tobie jé? – zapytał Antoś.

– Té dobrze wiesz – odparł Franek.

– Nié, jô nié wiem.

– Té so dowidz – odparł hardo Franek i już miał wychodzić, gdy nierozumiejąca o czym chłopcy mówili Dorotka zagadnęła.

– Franek, naprawdę dobrze się stało żeśmy cię spotkali. Brakowało nam ciebie.

Gdy usłyszał to ostatnie zdanie, wyraźnie zmienił mu się nastrój. Dawny uśmiech i wesołość wróciły na twarz. Zaczęli żartować, nawet Antoś opowiedział mu swoją przygodę ze żmiją. Franek sprostował ze znanstwem:

– Tu nie ma żmij, to mógł być najwyżej zaskroniec. Od tej gadziny nic ci nie groziło.

= = =

Wszystko wróciło do normy. Znowuż nie było dnia, żeby Franek nie spotkał się z Antkiem. Tak jak dawniej razem chodzili nad morze. Często przesiadywali z Dorotką i jej rodziną na łączce, gdy popołudniami korzystali ze słońca. Dni zaczęły robić się krótsze. Wcześniej zapadał zmrok. Noce już były chłodniejsze, ale w dzień, gdy świeciło słońce było bardzo przyjemnie. Woda w morzu była jeszcze dostatecznie nagrzana.

W dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, 15 sierpnia, mimo że był to dzień roboczy, msze odprawiano jak w święto i również na roli nikt nie pracował. W każdym domu przygotowywano okolicznościowe wiązanki z kwiatów, zbóż i owoców. Niesiono je do kościoła i na sumie uroczystie święcił je ksiądz proboszcz.

Po południu pogoda się zmieniła i na niebie pojawiło się sporo chmur. Zerwał się chłodny wiatr. Pogoda nie była plażowa. Chłopcy zorganizowali potańcówkę. Stara paczka zebrała się, żeby poszaleć. Wydawało się, że było tak sympatycznie jak dawniej. Ale tańczenie ciągle przy tych samych kilku płytach już ich nieco nudziło.

– We Władysławowie w Domu Rybaka, tam to są dopiero potańcówki; gra prawdziwa orkiestra – powiedział Franek przekrzykując dźwięki adaptera.

Dorotkę bardzo to zainteresowało. Antosiewi pomysł ten nie spodobał się. Do Władysławowa pójdą przecież w dużej grupie. A on wolał być sam na sam z Dorotką. Nie chciał się afiszować ze swoimi uczuciami wobec innych. I tak już dostatecznie krępowała go obecność Franka, który w ciągu ostatnich dni ciągle mu towarzyszył.

Jednak pomysł Franka przez pozostałych został przyjęty entuzjastycznie. – Idziemy na five do Władysławowa w najbliższą niedzielę. – Antoś nie miał wyjścia. Musiał się przyłączyć. Obawiał się jedynie, czy przekona rodziców, aby pozwolili mu na takie wyjście. Nigdy jeszcze tam nie był. Nad wyraz łatwo udało mu się uzyskać zgodę rodziców. Od matki dostał pieniądze na opłacenie biletu wstępu. Wcale tym nie był zbyt zachwycony. Myślał, że rodzice nie zgodzą się i miałby wówczas wspaniałą wymówkę, żeby nie pójść. Mógł przecież nie pytając

rodziców o nic powiedzieć kolegom, że właśnie rodzice mu nie pozwalają. Gdyby rzeczywiście rodzice mu nie pozwolili pójść do Władysławowa, z pewnością przeżywałby katusze nie dlatego, że nie poszedł na potańcówkę, tylko że nie mógł być tam z Dorotką. Był zazdrosny o Franka, który jak tylko mógł, zajmował sobą Dorotkę.

Przed czwartą po południu wyszli ze Swarzewa. Było ich razem siedem osób, trzy dziewczyny i czterech chłopaków. Impreza, na którą szli nazywała się „five”, ponieważ zaczynała się o piątej godzinie. Trwała dwie godziny, do siódmej. Potem orkiestra miała godzinę przerwy. O ósmej wieczorem zaczynał się w tej samej sali dancing. Na „five” chodziła tylko młodzież.

Szczęśliwie się stało, że dotarli do Domu Rybaka odpowiednio wcześniej. Sprzedawano już bilety. Kolejka do kasy była długa. Gdy w końcu dostali się na salę, była piąta. Orkiestra już grała. W sali było bardzo tłoczno. Zebrany tłumek zaczął tańczyć. Franek porwał do tańca Dorotkę. Pozostałe dwie pary też poszły tańczyć. Antoś stał z boku i przyglądał się wirującym parom. Bardzo mu się to wszystko podobało. Wiele razy widział w Swarzewie jak w sali, w której urządzali sobie popołudniowe potańcówki odbywały się wesela albo zabawy. Takie zabawy na wsi były zawsze wielkim wydarzeniem, bo zwykle kończyły się bijatyką, która na ogół prze-

nosiła się z sali na wieś. Oczywiście za każdym razem chodziło o jakąś dziewczynę. Zwaśnione grupy nie tylko biły się na pięści, ale używały „narzędzi bojowych” – najczęściej były nimi sztachety. Okoliczni gospodarze po takich zabawach musieli uzupełniać płoty wokół swoich obejść. A tu gra orkiestra, tańczy tylko młodzież. Jest fajnie. Atmosfera sali tak go fascynowała, że nie czuł się nieszczęśliwy stojąc z boku pod ścianą.

Po paru tańcach przetańczonych z Frankiem Dorotka powiedziała:

– Ja chciałabym też sobie potańczyć z Antosiem.

Franek trzymał dalej Dorotkę w objęciach, tak jakby tej uwagi nie usłyszał.

Na szczęście orkiestra zrobiła sobie przerwę. Od szukali się. Rozbawieni, zziajani, łapiąc powietrze, wymieniali poglądy. Wszystkim bardzo się podobało. Jedyne Antoś stał spokojny. Dorotka przysunęła się do niego.

– No powiedz, Antoś, jest w dechę. Chyba nie żałujesz, że poszedłeś z nami.

– Naprawdę jest fajnie, a jeszcze byłoby lepiej, gdyby można z tobą potańczyć – odparł Antoś.

– Widzisz Franek, ja nie mogę tylko z tobą tańczyć. Antosiewi się też coś należy – zaśmiała się Dorotka.

W tym momencie zaczęła znowu grać orkiestra. Dorotka złapała Antosia za rękę i pociągnęła w kierunku parkietu. Wziął ją w ramiona i rozpoczęli taniec. Był to walczyk. Coraz więcej par wchodziło na parkiet. Zrobiło się bardzo gęsto. Antos poczuł bliskość Dorotki. Miała na sobie lekką, cienką sukienkę. Buchało od niej ciepło. Trzymali się przecież już wiele razy za ręce, nawet przytulali się na ustronnej polance wśród krzaków. Ale tu, teraz, to coś całkiem innego. Dorotka w jego ramionach. Nie trzeba się chować, żeby ją przycisnąć do siebie.

– Wspaniale tańczysz – wyrwała go z zadumy Dorotka.

– A ty jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

Orkiestra zmieniła rytm na wolniejszy. Oni trzymali się dalej w objęciach. Dorotka pocałowała Antosia w policzek i położyła głowę na jego ramieniu. Zaczęli tańczyć wtuleni w siebie. Przyglądał się temu Franek. Twarz mu się wydłużyła, oczy zszarzały. Stał jakby nieobecny. Czas zaczął mu się dłużyć.

= = =

Wyjazd ze Swarzewa zaplanowany był na wieczór 30 sierpnia. Pociąg do Łodzi wyjeżdżał z Gdyni parę minut po 21.00. Musieli więc wyjechać ze Swarzewa wczesnym popołudniem. Dorotka obmyśliła sobie,

że w przeddzień wyjazdu pożegna się z Antosiem na polanie wśród krzaków. Chciała z nim razem przeżywać rozstanie się z morzem. To było wymarzone miejsce na takie romantyczne pożegnanie. Antoś z wielką radością przystał na propozycję. Mieli się spotkać o piątej, tak aby być z sobą z godzinkę – o szóstej powinna być w domu na kolacji.

Antoś był podekscytowany. Z jednej strony cieszył się na spotkanie, a z drugiej było mu smutno, gdy uświadomił sobie, że to już ostatnie spotkanie. Co prawda przyrzekali sobie wielokrotnie, że za rok Dorotka przyjedzie i znów będzie wspaniale. Ale to przecież cały, długi rok.

Antoś od rana żył cały czas myślą o spotkaniu. Nawet matka zauważyła, że były chwile, kiedy był jakby nieobecny. Trochę się dziwiła, bo nigdy dotąd takim go nie widziała. Pomyślała sobie, że chłopak widocznie dojrzeva i zaczyna mieć swoje problemy. Nie chciała być natrętna i nie zagadywała go, żeby dowiedzieć się co się z nim dzieje. Zresztą wiedziała, że jeżeli nie będzie chciał jej powiedzieć o co chodzi, sam z własnej woli, to każde jej pytanie zostanie zbyte.

Przed obiadem Antoś dowiedział się od ojca, że będzie musiał z nim jechać do Pucka, ponieważ trzeba było złożyć jeszcze uzupełniające dokumenty w Liceum Ogólnokształcącym, do którego miał uczęszczać od pierwszego września. Sprawa ta dotyczyła jego

osobiście; nie mógł więc znaleźć żadnej wymówki. Prosił usilnie ojca, aby pojechać jak najszybciej, żeby mógł zdążyć na umówione spotkanie. Uświadomił sobie, że może wrócić jednak dopiero przed szóstą. Będzie to o godzinę za późno. Tak długo tam na polanie, bez uprzedzenia, Dorotka siedzieć i czekać na niego nie będzie. Pierwsza myśl, która przyszła mu do głowy, że musi ją jakoś uprzedzić. Zjadł więc szybko obiad i pobiegł do państwa Mudlafów, ale drzwi do pokoju, który odnajmowali były zamknięte. Pani Mudlafowa powiedziała mu, że Dorotka z rodzicami i z bratem poszli do Władysławowa, żeby pożegnać się z pełnym morzem i wrócić około czwartej. Sytuacja stawała się dla niego coraz trudniejsza. Wyszedł przed dom i stanął bezradny. Czas wracać do domu, żeby z ojcem pójść na dworzec. Miał zamęt w głowie. Przecież nie pójdzie do pani Mudlafowej i nie zwierzy się ze wszystkiego, żeby ją poprosić o przekazanie wiadomości Dorotce, że nie może przyjść na to ostatecznie, umówione spotkanie. Naraz wpadła mu do głowy myśl, żeby poprosić Franka, aby on poszedł na polankę i opowiedział o całej sytuacji Dorotce i żeby na niego poczekał dopóki nie wróci z Pucka. Czy to dobra myśl – zastanawiał się przez chwilę. Wtedy to już nie będzie pożegnanie we dwójkę. Ale nie wymyślił nic innego. Czas naglił. Całe szczęście, że Franek był w domu. Chętnie się zgodził. Antoś uradowany pobiegł do domu.

Dorotka w umówionym miejscu stawiała się przed czasem. Założyła swoją najładniejszą minisukienkę, różową w czerwone grochy. Pogoda była piękna. Jak na koniec sierpnia było sympatycznie ciepło. Słońce jednak dawało już długie cienie, co przypominało, że dzień jest krótszy. Rozejrzała się naokoło, była przekonana, że Antoś już na nią czeka. Zwykle bywał znacznie przed umówionym czasem. To ona często się spóźniała. Usiadła na ziemi, podparła się z tyłu rękoma i patrzyła w przestrzeń na urzekający granat morza. W dali rysował się ląd półwyspu. Wiele razy podziwiała ten widok, jednak dziś chciała go zatrzymać w oczach na długo. Musiała się spieszyć z zapamiętywaniem tego widoku. Niebawem przecież będą się żegnać z Antosiem. Czuła, że ta letnia przygoda głęboko zostanie przez nią zapamiętana. Rozmarzyła się. Na myśl przychodziły jej spotkania na tej polanie, gdy w objęciach trwali długo bez ruchu, jedynie ich wargi spotykały się od czasu do czasu. Zaczęła się zastanawiać, czym by go zaskoczyć, żeby to dzisiejsze pożegnalne spotkanie było inne niż wszystkie dotychczas. Wpadło jej coś do głowy. Rozejrzała się wokół siebie. Było cicho i spokojnie, jedynie od brzegu rozpościerającego się kilka metrów poniżej w dole dochodził stłumiony odgłos fal

obmywających piasek. Przechyliła się nieco w lewo. Prawą ręką sięgnęła pod sukienkę i zaczęła ściągać majteczki. Trwało to krótko. Poprawiła sukienkę. Podkurczyła kolana, które objęła rękoma. W prawej dłoni trzymała majteczki. Poczowała lekki powiew powietrza na swoim przyrodzeniu. Przeszły ją ciarki. Rozmarzyła się. Myślała o Antosiu.

Nagle zauważyła, że ktoś się wyłania z krzaków z prawej strony z dołu polany. Była zaskoczona. Nie wiedziała, że tamtędy też można wejść na polanę. Odwróciła głowę do tyłu w stronę znanego jej wejścia. Stali tam Franek i Michał. Nie odezwali się do niej słowem. Spojrzała więc na nieznanego. Był to rosły chłopak, z pewnością starszy od niej. Stał tuż przed nią i wzrok jego tkwił gdzieś koło jej stóp. Szybko zorientowała się co go tak zajmuje. Odruchowo wyprostowała nogi na ziemi i ściągała sukienkę za kolana. Podniosła głowę. Wokół niej stało trzech chłopaków. Żaden nie odezwał się jeszcze do niej. Twarze ich były wykrzywione w dziwnych uśmieškach. Pytająco spojrzała na Franka.

– Antoś dziś nie przyjdzie – zdawkowo burknął Franek.

Chciała coś powiedzieć, ale przerażenie odebrało jej głos, gdyż poczuła na udach ciężar. Usiadł jej na nogach nieznanomy. Krzyknęła, ale jej krzyk zamilkł, gdy szybkim ruchem dłoni zakrył jej usta. Zaczęła się szarpać.

– Przytrzymajcie ją za ręce – zwrócił się do Franka i Michała a sam wydobyl z jej zaciśniętej dłoni majtki i włożył jej do ust.

– Bądź grzeczną dziewczynką i spokojnie odychaj nosem – powiedział. – Chciałaś się zabawić z Antosiem. Zabawisz się z nami.

Podsunał jej wysoko sukienkę, następnie rozpiął spodnie.

Dorotka leżała na ziemi bez ruchu. Pamiętała dokładnie cały koszmar kilkunastu minionych minut. Widziała teraz jak chłopcy wciągali spodnie i kierowali się do wyjścia z polany. Nie miała siły, żeby wyciągnąć wetknięte jej w usta majtki i krzyczeć. Po chwili została sama. Wokół cisza, jedynie z oddali dochodził szum morza. Po twarzy zaczęły płynąć łzy, a ciało szarpał cichy szloch. Była zła na siebie, że tak łatwo poddała się. Co prawda nie było to jej pierwsze doświadczenie seksualne, ale to co przeżyła to był przecież grupowy gwałt. To było koszmarnie. Po chwili pozbierała się i zeszła nad morze. Plaża już opustoszała. Jedynie gdzieś daleko ktoś się kąpał. Zdjęła sukienkę. Położyła ją na piasku. Pod nią położyła majtki. Była w samym biustonoszu. Weszła do wody, dała kilkadziesiąt kroków. Woda sięgała jej po uda. Usiadła na dnie. Poczwała przyjemny chłód wody na całym ciele.

Szli z ojcem z dworca na pieszo. Antoś wyraźnie przyspieszał kroku.

– Co tã sënïe tak flot dô dom idziesz? – zdziwił się ojciec.

Antoś zażenowany nic nie odpowiedział, jedynie trochę zwolnił. Jednak po chwili znowu przyspieszył. Czuł jakiś niepokój. Było to dość dziwne uczucie. Cieszył się na spotkanie z Dorotką, ale nie tak jak przedtem, gdy czekał na nią na polance. Pomyślał sobie, że to dziwne uczucie nachodzi go, bo jest to przecież ostatnie spotkanie. Nie był pewien, czy Franek ją uprzedził, że się spóźni. Wyobrażał sobie, że Dorotka siedzi i czeka tam na niego. A może się pogniewała i poszła. Czy go zrozumie, że nie mógł być wcześniej w umówionym miejscu.

Gdy weszli do wsi, przy kapliczce koło Czapów, powiedział ojcu, że za niecałą godzinę będzie w domu i pobiegł w kierunku morza. Ojciec stał przez chwilę zadziwiony zachowaniem syna. Potem poszedł ulicą do domu w kierunku kościoła.

Antoś wbiegł na polankę. Staął. Rozejrzał się dookoła. Nikogo nie było. A może gdzieś się ukryli, żeby zrobić niespodziankę. Obszedł całą polankę zaglądając w krzaki. Nikogo nie było. Zrobiło mu

się smutno. Niestety Dorotka nie zaczekała na niego, a Franek nawalił i nie uprzedził jej. Ciekawe dlaczego nie przyszedł i nie powiedział żeby czekała. A może zakpili z niego i poszli sobie gdzieś. Przecież wiedział, że Franek też się podkochał w Dorotce. Przygnębiony myślami usiadł na ziemi. Siadając zauważył, że trawa nieopodal na polance była jakoś dziwnie zmierzwiona. Zadziwiło go to nieco, ale nie zastanawiał się dalej nad tym. Pewnie tu ktoś rozłożył koc i się opalał, pomyślał sobie. Patrzył przez jakiś czas tępym wzrokiem na morze. Wstał z ziemi. Skierował się już ku ścieżce. Na chwilę odwrócił się i zauważył jakąś postać w wodzie. Ten ktoś szedł do brzegu. Przyglądał się przez chwilę z wielką uwagą. Czyżby to była Dorotka? Z tej odległości nie mógł jej dokładnie rozpoznać. Wydawało mu się, że dziewczyna ma tylko biustonosz na sobie. To chyba nie Dorotka, pomyślał, dlaczego miałaby się kapać bez majtek. Postać, którą widział podeszła już na tyle blisko brzegu, że stracił ją z oczu. Zasłoniły ją krzaki rosnące na urwisku. Zawahał się przez chwilę, czy zejść na brzeg czy poczekać tutaj. A jeżeli nie była to Dorotka, to po co ma tam schodzić, a jeśli to ona to dlaczego nie czekała na niego tutaj na polanie. Po chwili zdecydował, że zejdzie na dół. Wolno rozglądając się na boki przedzierał się przez krzaki znanym przejściem. Dopiero teraz zauważył, że od tej ścieżki odchodzi w bok jakieś przejście. Zdziwił

się nieco. Poszedł jednak dalej przed siebie. Wyszedł z krzaków i skierował się w stronę dolinki z łąką, na której zwykle opalali się z rodziną Dorotki. Będąc już na dole zauważył dziewczynę stojącą nad brzegiem morza. Była to Dorotka w swojej najładniejszej sukience.

– Cześć Dorotka – zawołał Antoś – dobrze, że jeszcze jesteś. Przepraszam cię, że się spóźniłem.

Dziewczyna dopiero teraz się odwróciła. Spojrzała na niego wzrokiem bez wyrazu.

– Lepiej żebyś tu teraz nie przychodził – powiedziała bezdźwięcznie.

Antoś wyczuł, że coś jest nie tak.

– A co się stało – zapytał.

– Niech ci powie Franek – odpowiedziała i skierowała się w stronę zabudowań. Antoś stał jak wryty, nie był w stanie zrozumieć jej reakcji. – Nie chcę żadnych pożegnań i nie chcę żebyśmy się więcej spotykali – dorzuciła głosem łamiącym się od szlochu. Pobiegła w stronę domu. Antoś patrzył za nią jak się oddala. Dopiero teraz zauważył, że jej sukienka jest całkiem pomięta.

= = =

Zaczęły się przygotowania do drugiego odpustu. Był to odpust Narodzenia Matki Boskiej, inaczej zwany Matki Boskiej Siewnej przypadający zawsze

w najbliższą niedzielę po 8 września. Od tygodnia prawie cała wieś była zajęta przygotowaniami. W domach sprzątano pokoje po letnikach, aby ugościć przybywających pielgrzymów. Należało także naszykować jedzenie na większą liczbę ludzi – nie było domu, gdzie nie spodziewano by się gości odpustowych. Poza tym trzeba było pomóc przy kościele. Kobiety myły podłogę w kościele, stroiły ołtarze, przygotowywały dekorację kościoła, ubierały tron dla biskupa. Mężczyźni zaś budowali ołtarz polowy na placu przy kościele.

Już od rana w sobotę handlarze budowali stragany. W południe zaczęło pojawiać się coraz więcej ludzi. Pierwsze pielgrzymki witano już przed trzecią. O czwartej odprawiono uroczyste odpustowe nieszpory. W kościele były tłumy ludzi. Na wrześniowy odpust przychodziło znacznie więcej pielgrzymek niż na lipcowy. Był to odpust dla parafii z łądu. Przychodzili więc z daleka: z Wejherowa, Rumi, Redy, nawet z Gdyni. Zaś z najbliższych okolic, jak z Pucka, pielgrzymi przybywali w niedzielę z rana. Specjalną uroczystością było powitanie biskupa, który przyjeżdżał wieczorem w sobotę, zwykle około szóstej.

Antoś z Frankiem stali przed bramą główną cmentarza, na wprost wejścia do kościoła, trzymając krótki, około dwumetrowej długości, dywanik. Ich zadaniem będzie tak go rozłożyć, aby ksiądz biskup wysiadając z samochodu mógł swobodnie przejść do

czerwonego chodnika rozłożonego już od bramy do wejścia kościoła. W kruchcie ustawiała się procesja: krzyż, chorągwie, proporce i feretron. Na ulicy stali ministranci i ksiądz proboszcz w oczekiwaniu na przyjazd biskupa.

Franek unikał Antosia. Od tamtego dnia, kiedy Antoś poprosił Franka o przysługę nie miał okazji zapytać się, czy Franek przekazał Dorotce jego prośbę, aby na niego czekała. Spotkali się dziś w zakrystii. Jednak Franek wpadł na ostatnią chwilę tuż przed rozpoczęciem nieszporów. W pośpiechu założył komeżkę, narzucił kołnierz i dołączył do ministrantów, którzy stali już przed drzwiami zakrystii gotowi do wyjścia do ołtarza. Po nieszporach mieli co prawda trochę czasu, ale nie było okazji, aby byli dostatecznie sami i mogli rozpocząć rozmowę. Ponadto pan organista zajmował ich ciągle jakimiś nowymi poleceniami. Teraz dopiero stali dostatecznie z boku i Antoś odważył się zagadnąć Franka.

– Rzecze mié, dôl tĕ bĕszéd Dorotce.

Franek zrobił się czerwony na twarzy i po chwili odparł. – Jô cĕ powim wítro po odpusce. – Odpowiedź ta zadziwiła Antosia. Dlaczego Franek na jego proste pytanie nie odpowiedział tak albo nie, tylko ma mu coś do powiedzenia dopiero jutro. Zachowanie się Franka też było nienormalne. Nie dość, że się nie spotkali w ciągu całego tygodnia, to teraz zbywa go taką odpowiedzią. Dalsze Antosia

rozmyślenia zostały przerwane wielkim poruszeniem w tłumie na ulicy.

– Oni ju jadą – przekazywano z ust do ust.

Po chwili z głównej ulicy zza zabudowań dawnej karczmy wyłonił się szary samochód. Była to „Warszawa”. Powoli wśród rozstępującego się tłumu podjeżdżał do głównej bramy odpowiednio udekorowanej. Nad bramą na żerdzi ułożonej na dwóch wspornikach oplecionych gałązkami świerku, wśród girland również ze świerku, wisiał napis „Witamy Pasterza”. Podobnie była udekorowana furka do plebanii, a nad wejściem do budynku wisiał napis „Gość w dom, Bóg w dom”.

Samochód stanął przed bramą. Chłopcy szybko rozścielili chodnik przed tylnymi drzwiami, do których podszedł kapelan i je otworzył. Antoś jako ministrant już wiele razy uczestniczył w powitaniach biskupa, ale za każdym razem była to tak samo bardzo ekscytująca i uroczysta chwila. Biskup ubrany odświętnie, cały w czerwieni stanął przed samochodem. Podszedł do niego ksiądz proboszcz. Przyklęknął na powitanie i ucałował pierścień biskupi nałożony na czerwonej rękawiczce. Orkiestra dęta zagrała „Sto lat...” i kondukt przy dźwiękach dzwonów ruszył do kościoła. Gdy znaleźli się w kościele chór zaśpiewał po łacinie pieśń na powitanie biskupa „Ecce sacerdos...”. Biskup podszedł do ołtarza. Ukląkł na czerwonym klęczniku i pokłonił

się przed odsłoniętą figurką Matki Boskiej Swarzewskiej. Cały orszak ze zgromadzonymi księżmi również klęczał. Po chwili wstał i skierował się do tronu biskupiego. Usiadł. Rozpoczął się ceremoniał powitania. Najpierw były wierszyki, które recytowały dzieci, a potem również starsi parafianie witali biskupa kwiatami. Następnie wygłosił mowę powitalną ksiądz proboszcz. Ministranci w tym czasie tłoczyli się w zakrystii.

Antoś zagadnął jeszcze raz Franka: – Rzecze doch mié...

– Jô cé rzek, że witro to mdzé witro. Wici mié dzis so nie pëto – zachnął się i oddalił od Antosia.

W niedzielę rano pierwsza msza odprawiana była tradycyjnie o godzinie szóstej w kaplicy nad morzem, tam gdzie witało się pielgrzymów przybywających na lipcowy odpust. Do mszy służył Franek. Był zaspany, ledwo ruszał się przy ołtarzu. Zresztą nie musiał zbytnio się przemieszczać, bo w kapliczce było niewiele miejsca. Aby zdążyć na posługę musiał wstać parę minut po piątej. O tej porze zwykle smacznie spał. Poza tym noc miał niespokojną. Nie mógł zasnąć, mimo że był zmęczony po całym dniu zajęć. Ledwo przysnął, a już budził go dziwny sen. Stał przed nim, jakby przy jego łóżku Antoś i patrzył na niego szerokimi, smutnymi oczyma. Za każdym razem, gdy się budził, natarczywie do

głowy przychodziło mu pytanie Antosia. Wczoraj mu przyrzekł, że mu wszystko opowie w niedzielę po odpuście. Myśl o tej rozmowie przerażała go. Układał sobie w głowie jak zacząć. Całą winę chciał rzucić na kolegów. Ale dlaczego w tym szaleństwie uczestniczył? Przecież mógł ich tam nie prowadzić. Jedynie on wiedział, że na polance na zboczu Dorotka czeka na Antosia. Umęczony tą gonitwą myśli w końcu zasypiał. Ale po paru minutach znowu budził go stojący przy łóżku Antoś. Im bardziej zaciskał oczy, tym wyraźniejsza była twarz Antosia. Otwierał oczy i wówczas przerażała go czerni nocy i dziwna bezdźwięczna cisza. Czym prędzej zamykał oczy i nakrywał się poduszką sądząc, że w ten sposób ucieknie przed otaczającą go ciemnością i wyłaniającą się z tej ciemności postacią Antosia. Wtedy jednak wracały sceny z owego popołudnia. Było to piękne, słoneczne, pełne światła popołudnie. Dlaczego wtedy, gdy szedł na plażę, aby Dorotce powiedzieć, że Antoś się spóźni na ich ostatnią randkę, spotkał we wsi tych chłopaków. Co go podkusiło, żeby im wszystko opowiedzieć. Gorąco pragnął, aby ten dzień się wrócił i żeby go mógł przeżyć inaczej. Na pewno by tego co się stało drugi raz nie zrobił.

= = =

Już przed godziną ósmą gromadziło się sporo ludzi wokół kościoła. Jedni wychodzili z kościoła

inni doń wchodzili. W kościele panował swoisty za-
duch, ponieważ wielu spośród pielgrzymów spędziło
w nim noc. Modlili się śpiewając pieśni, odmawiając
różaniec, gdy zmorzył ich sen kładli się w ławkach
i przesykali parę godzin. Noc była pogodna i całkiem
ciepła jak na tę porę roku. Ranek był rześki. Rosa
ścieliła się wszędzie, zapowiadało to pogodny i ciepły
dzień. Pan organista obszedł wszystkie rozstawione
wokół kościoła konfesjonały. Wycierał ścierką sie-
dzenia, aby były suche, gdy zasiądą tam księża do
słuchania spowiedzi. Przed konfesjonałami zaczęły
się już ustawiać kolejki penitentów.

Franek obszedł kościół dookoła. Jedyne w dwóch
konfesjonałach siedzieli już księża słuchając spowie-
dzi. Zastanowił się przez chwilę, czy jest już właściwie
przygotowany, żeby stanąć w kolejce. Chyba jeszcze
raz musi sobie przepowiedzieć z czego ma się spowia-
dać. Wszedł do kościoła bocznym wejściem. Usiadł na
ławce pod ścianą. Ostatni raz u spowiedzi był w odpust
lipcowy. Ile to tygodni temu? Policzył sobie. Wyszło,
że siedem. Z odmawianiem pacierzy rannych i wie-
czornych to różnie bywało – pomyślał sobie. Trzeba
się do tego przyznać. Imiona święte...? Jezus, Maryja
– kilka razy na dzień; przy każdej okazji zaskoczenia
i zdziwienia. Jak tam było z posłuszeństwem wobec
rodziców. I wtedy sobie przypomniał jak okłamał
ojca w związku z tą całą sytuacją z ostatniego od-
pustu. Chyba nie powinien wtedy przystąpić do ko-

munii. No cóż, musi to wszystko teraz opowiedzieć księdzu. Ale co z tą ostatnią sprawą. Jak się przyznać, że się brało udział w gwałcie zbiorowym. Myśl ta przeraziła go. Jak on to powie? Ale nie ma wyjścia, musi to powiedzieć. Teraz dopiero zrozumiał, że lepiej byłoby, gdyby wtedy sam poszedł Dorotkę uprzedzić, że Antoś nie może przyjść na umówiony czas. Przecież nie musiał mówić chłopakom gdzie idzie i po co. Diabeł go podkusił. Ale wtedy, gdy ich spotkał nie miał przecież pojęcia jak to się skończy. Nawet mu przez myśl to nie przeszło. A potem, gdy to wszystko się zaczęło mógł ich powstrzymać, a w najgorszym przypadku uciec albo zrobić raban. Ale nic z tego. Brał w tym udział. Brał udział świadomie, bez przymusu. To jest najgorsze. Gdyby był przymuszony, łatwiej byłoby mu o tym opowiedzieć księdzu. Myśli zaczęły mu się plątać. Czuł, że już sporo czasu siedzi na tej ławce jak przymurowany. Musi coś z sobą zrobić, bo niedługo trzeba być w zakrystii. Niebawem zaczyna się przygotowania do uroczystej sumy. Wstał, wyszedł z kościoła. Rozejrzał się, wszędzie stało sporo ludzi w kolejkach do konfesjonałów. Staął na końcu jednej z nich. Po paru minutach nie był już ostatni. Za nim doszło kilka osób. Był całkowicie zatopiony w swoich myślach. Zdziwił się nawet, że już przed nim są tylko dwie osoby. Jakaś dziewczynka kilkuna-stoletnia a za nią kobieta w średnim wieku. Pewnie

matka z córką – pomyślał. Dziewczyna była niewiele młodsza od Dorotki i do niej bardzo podobna. Dopiero gdy to zauważył poczuł na całym ciele jakiś lubieżny dreszcz, który spowodował to, że mu coś zaczęło grubieć między nogami. Zawstydził się przed sobą. Ciekawe czy ktoś to zauważył. Zerknął na boki. Rozejrzał się po twarzach ludzi stojących w kolejce. Każdy był zajęty sobą i swoimi myślami.

Dziewczyna podeszła do konfesjonału. Franek w dalszym ciągu wiódł wzrokiem za nią. Gdy uklękła przed kratkami konfesjonału zauważył, że spowiednikiem jest ksiądz Wiśniewski. W jednym momencie cały się spocił a serce zaczęło mu łomotać niemiłosiernie. Był w pułapce. Ksiądz Wiśniewski przecież go bardzo dobrze zna. Tak często przyjeżdża z Pelplina do Swarzewa, że zna prawie wszystkich parafian, a cóż dopiero ministrantów. Gdyby teraz wyszedł z kolejki zostałoby to zauważone przez księdza Wiśniewskiego. Nie, tego nie robi, bo to wstyd. Ale przecież jeszcze większy wstyd powiedzieć księdzu Wiśniewskiemu, że on ..., nie wie nawet jak to nazwać. Gdyby to był jakiś obcy ksiądz, opowiedziałby wszystko jak było, ale księdzu Wiśniewskiemu. Te myśli zajęły go na tyle, że nie zauważył nawet jak odeszła już od konfesjonału kobieta. Dał dwa kroki do przodu. Z drugiej strony konfesjonału jeszcze się ktoś spowiadał. Przystanął. Serce mu biło jak młot. Czuł pulsowanie

w skroniach. Myśli mu się plątały. Po chwili klęczał przed konfesjonałem.

= = =

W zakrystii zrobiło się nieco luźniej. Ministranci byli już przed ołtarzem i stali po bokach. Ksiądz proboszcz w otoczeniu kilku księży wyszedł z zakrystii. Ukląkł, a z nim pozostali księża i ministranci. Po krótkim pokłonie przed ołtarzem wstał i odwrócił się. Był to znak dla orszaku, aby ruszył w kierunku wyjścia z kościoła. Orszak był krótki, bo składał się jedynie z emblematów parafialnych. Nie uczestniczyli w nim przedstawiciele innych parafii. Po wyjściu z kościoła skierowali się do plebanii. Na ulicy przed plebanią stała orkiestra dęta i zebrał się spory tłum. Orszak nie doszedłszy do plebanii zawrócił, zaś ksiądz proboszcz wszedł do środka. Po chwili w drzwiach wejściowych pojawił się biskup. Orkiestra odegrała sto lat a tłumek zaczął wiwatować na cześć biskupa, który uśmiechem i znakiem krzyża pozdrawiał zebranych. Niektórzy przyklękali na jedno kolano.

Orszak ruszył w kierunku kościoła. Po wejściu i złożeniu pokłonu przed ołtarzem krzyż, chorągwie i feretron zostały wyniesione bocznymi drzwiami na zewnątrz, zaś ministranci, towarzyszący orszakowi księża i biskup weszli do prezbiterium. Biskup

po krótkiej modlitwie, odmówionej na klęczniku przed odsłoniętym ołtarzem, wszedł na tron, gdzie rozpoczęła się celebra zakładania przezeń szat liturgicznych. W zakrystii było nawet dość luźno. Przy drzwiach stał stary kościelny ze Swarzewa, zaś w środku przy stoliku z miską ołowianą Antoś rozpałał węgielek nad świecą zerkając od czasu do czasu z dużym zainteresowaniem na zewnątrz przez okno. Na alejce wokół kościoła panował już ożywiony ruch wśród służb liturgicznych. W kolejności przyjętej od wielu lat ustawiały się poszczególne parafie ze swoimi emblematami. Oczywiście na początku gospodarze, którzy stali na wysokości okien zakrystii. Im to właśnie przyglądał się Antoś.

– Antoś, moż tē fardich to kadzedlo? – wyrwał go nagle z rutynowej pracy Franek, który wpadł jak bomba do środka. Antoś bez słowa włożył węgielek do kadzidła i zaczął nim intensywnie wahadłowo wymachiwać. Franek sięgnął po naczynie ze sproszkowanym bursztynem, które stało na dolnej półeczce stolika z ołowianą miską. Wyszli przed ołtarz. Stanęli z boku przed balustradą a schodami prowadzącymi na ambonę. Po chwili Franek zorientował się, że obok stoi ksiądz Wiśniewski. Poczł się nieswojo. Wydawało mu się, że jakoś dziwnie na niego patrzy. Zrobiło mu się gorąco. Wiedział, że policzki mu pieką. Spojrzał na Antka i zauważył w jego oczach zadziwienie. Czego oni wszyscy ode mnie chcą?

– irytował się Franek. Z dziwnej zadumy wyrwał go Antoś, szarpiąc go za rękaw komży. Trzeba było podejść do biskupa, który nasypał na żarzące się węgielki trzy miarki bursztynu. Z kadzidła wydobył się jasny gęsty dym wypełniając otoczenie swoistą wonią. Zapach ten bardzo lubił Franek. Zapomniał o chwilowych przeżyciach. Upajał się zapachem kadzideł.

Dzwoniły dzwony. Orkiestry grały. Ludzie śpiewali. Po obejściu wokół kościoła procesja wkroczyła już na ulicę. Uroczyste uniesienie było zakłócanie od czasu do czasu wystrzałami kapiszonów. Huki te były raz bliższe raz dalsze. Straganiarze nie odchodząc od swoich straganów, przyklękali przed baldachimem, gdy przechodziła procesja. Antoś miał odpowiedzialne zadanie. Podczas całej drogi szedł przed baldachimem cofając się i jednocześnie okadzając monstrancję. Wreszcie dotarli przed ołtarz polowy usytuowany na skraju placu cmentarnego. Budowano go przez tydzień. Na platformę, wysoką na ponad półtora metra prowadziły szerokie schody, po których właśnie wchodzili celebransi. Ołtarz był pięknie ustrojony kwiatami, a wysoko ponad obrazem Matki Boskiej oraz po jego bokach misternie upięte były falbany z płótna niebieskiego i białego ubogacone girlandami z plecionego świerka. Z lewej strony usytuowany był biskupi tron widoczny z daleka.

Rozpoczęła się uroczysta msza odpustowa. Ministranci tym razem nie uczestniczyli w celebrze bezpośrednio. Biskupowi w odprawianiu mszy towarzyszyli księża oraz klerycy. Antoś i Franek stali z boku na platformie oparci o balustradę, obok nich Wacek i Janek, którzy w rękach trzymali dzwonki. Również oni byli zmęczeni, ponieważ musieli przez całą drogę dzwonić. Antoś machał ciągle kadzidłem w prawo i w lewo, gdyż bał się aby mu węgielki nie zagasty. Sama uroczystość trwała bardzo długo, a szczególnie kazanie. Wszyscy stali, jedynie biskup siedział podczas kazania. Kazanie wygłaszał specjalnie na tę uroczystość zaproszony misjonarz. Stał na ambonie ustawionej na środku placu cmentarnego na tyle centralnie, aby mógł być dobrze słyszalny na całym placu. Był dobrym mówcą i trafiał do serc słuchaczy. Później podczas obiadu w każdym domu komentowano kazanie. Każdy oczywiście po swojemu odebrał przesłanie kaznodziei.

Franek rozglądał się po tłumie. Czasami mignęła mu jakaś znajoma twarz, ale wzrok toczył dalej, tak jakby nikogo nie rozpoznawał. Zajęty był swoimi myślami. Słyszał słowa kaznodziei, ale ich nie rozumiał. Wydawało mu się, że były wypowiedziane oddzielnie i nie miały ze sobą żadnego związku. Antoś zauważył, że oczy Franka są jakoś dziwnie nieobecne i przez chwilę przyglądał mu się z uwaga. Franek to zauważył i burknął po cichu: – Ceŷ tĕ tak slipisz so

nô mia. – Te harde słowa zadziwiły nieco Antosia. Nigdy jeszcze nie słyszał takiej odzywki. A przede wszystkim dziwna agresja była w tonie Franka. Antoś nie pytał już o nic więcej. Starał się słuchać o czym mówi ksiądz na ambonie. Szło mu to z trudem. Myśli jego ciągle wracały do Dorotki i tamtego wieczoru kiedy mieli się pożegnać. Odpowiedź na wszystkie jego pytania znał Franek. Przecież mu zaufał, a teraz zachowuje się dziwnie. Franek jest przecież jego najlepszym i właściwie jedynym przyjacielem, przed którym nie miał żadnych tajemnic. Dlaczego jeszcze do dziś mi nie powiedział co się wtedy stało? – pytał sam siebie.

= = =

– Dzisiaj po niszporach na bôldowej łączce jô cê wszystko rzeka. Bądze tam kole piontej – zwrócił się Franek bezdźwięcznym głosem do Antosia podczas zdejmowania komży po zakończonej sumie. Powiedział tak, aby nikt z pozostałych tego nie usłyszał i nie oczekiwał potwierdzenia od Antosia. Razem z pozostałymi ministrantami szybko wyszedł z zakrystii. Antoś był zaskoczony propozycją. Nim zbierał myśli, zauważył, że stał sam przed wieszakami, na których ministranci wieszali swoje komże. W zakrystii krzątał się organista, który układał ornaty w szufladach kredensu. W kościele zrobiło się prawie

pusto. Pielgrzymki z bardziej odległych parafii już się pożegnały według utartego obyczaju wykonując odpowiednie pokłony swoimi emblematami przed ołtarzem. Przy dźwiękach orkiestr lub gorliwie śpiewając nabożne pieśni kroczyli pielgrzymi główną ulicą biegnącą środkiem wsi, kierując się ku kapliczce koło Czapów. Tam oczywiście gospodarze żegnali się uroczyście z gośćmi. Ceremoniał pokłonów trwał odpowiednio długo, mimo to nie brakowało zafascynowanych nimi obserwatorów. Tym razem w imieniu proboszcza Dambka, pątników żegnał ksiądz Wiśniewski, ponieważ proboszcz podejmował biskupa i pozostałych księży uroczystym obiadem odpustowym. W pogotowiu stała przed plebanią orkiestra ze Strzelna, aby uroczyście pożegnać biskupa. Około drugiej po południu w drzwiach plebanii pokazał się kapelan biskupa. Był to znak, że należy zagrać. Samochód podjechał przed furtę. Po chwili wyszedł biskup. Zszedł po schodach uśmiechając się i czyniąc ręką znak krzyża. Błyskawicznie zebrał się przed plebanią dość spory tłumek, który zaczął wiwatować na cześć biskupa. Proboszcz i pozostali księża, którzy wyszli z plebanii machali na pożegnanie rękoma do siedzącego już w samochodzie biskupa. Samochód ruszył wzdłuż rozstępującego się na boki tłumu, który rozentuzjasmowany ciągle jeszcze wiwatował. Potem ludzie szybko rozeszli się. Część z nich poszła do straganów, gdzie panowała wciąż jeszcze gorącz-

ka zakupów. Właśnie teraz między zakończeniem sumy a nieszporymi wszyscy ci, którzy wcześniej byli w kościele mieli czas, aby spokojnie coś kupić.

Antoś zjadł obiad i wyszedł z domu. Powiedział matce, że idzie „do budów” a potem na nieszpory, później jeszcze pochodzi trochę z chłopakami. Nie wspomniał wprost o spotkaniu z Frankiem. Przeszedł się dwa razy tam i z powrotem wzdłuż straganów. Zrobiło się już dość luźno. Nie spotkał nikogo ze swoich kolegów. Poszedł więc do kościoła. Był przed czasem. Drzwi zewnętrzne do zakrystii były zamknięte. Głównym wejściem wszedł do kościoła. Uderzył go specyficzny zaduch. W kościele było gorąco i roznosił się zapach kadzidła zmieszanego z ludzkim potem. Ludzie zaczęli się już schodzić i zajmować miejsca w ławkach. Również siadł z prawej strony z przodu, aby mieć na oku drzwi od zakrystii, które na razie były zamknięte. Po chwili drzwi się otworzyły co oznaczało, że przyszedł już organista. Antoś wyszedł z ławki, skierował się do ołtarza, minął balustradę, ukląkł przed ołtarzem i wszedł do zakrystii.

– Co té tądka przeszed, Tonku? – spytał zdziwiony organista, że Antoś wszedł do zakrystii od strony ołtarza.

– Jô bël trocha rechli jak zôkresteja bela zamklô – odparł Antoś i poszedł do kącika ministranckiego, gdzie sięgnął po komżę i założył ją, a następnie nałożył na ramiona biały kołnierz. Był gotowy do posługi. Przyszło jeszcze dwóch młodszych mini-

strantów. Jednak miało być ich czterech. Przecież miał przyjść Franek. Ciekawe co się stało? Dlaczego go nie ma? Czy w takiej sytuacji spotkają się nad morzem? Pytania te zaprzętały myśli Antosia.

Nieszpory się skończyły. Pozostałe pielgrzymki szły do wymarszu. Trzeba było je jeszcze odprowadzić do kapliczki stojącej przy skrzyżowaniu szosy do Władysławowa z drogą polną do Łebcza. Tą właśnie drogą udali się do domu pielgrzymi z Łebcza, Strzelna i Starzyna, zaś szosą pielgrzymi z Pucka. Po pożegnaniu przy kapliczce, w którym uczestniczył ksiądz proboszcz, gospodarze wracali znużeni, ale zadowoleni, że wszystko się skończyło szczęśliwie. Na ulicach było pusto i cicho. Wały się jedynie w zaułkach i pod płotami puste kartony i strzępy papierów. Gdy wrócili do kościoła Antoś szybko zdjął komżę i niepostrzeżenie wymknął się z zakrystii. Nie chciał aby ktokolwiek wiedział, dokąd się wybiera. Nie poszedł więc nad morze przejściem koło Kuźłów i Renuszów, tylko wąskimi kamiennymi schodkami zszedł z cmentarza i ukradkiem przemknął przez podwórko państwa Sosnowskich. Był już sam na wzgórzach, z których roztaczała się panorama morza. Dobrze znanymi mu ścieżkami, omijając ścierniska i poletka z ziemniakami dotarł na umówione miejsce. Nikogo po drodze nie spotkał.

Wbiegł na łąkę. Rozejrzył się dookoła. Nigdzie nikogo nie było. Usiadł na ziemi w tym miejscu, gdzie latem plażowali się razem z rodziną Dorotki. Wróciły

wspomnienia. Ciekawe co ona teraz robi? Dlaczego nie chciała się z nim pożegnać? Coś musiało się tego popołudnia stać. A co, to tylko wie Franek. Miał tu być. Przecież miał mu to dziś powiedzieć. Gdzie on jest? Szarpały nim te pytania. Dłużej siedząc tutaj tak beczynnie nie wytrzyma.

Wstał. Popatrzał na morze. Było szafirowe, bardzo spokojne. Słońce schowało się już za stromizną urwiska. Zszedł na brzeg. Spokojne fale przybojowe lizwały plażę. Stał przez chwilę i przyglądał się wodzie. Była kryształowo przezroczysta. Przykucnął i zanurzył dłoń. Nie jest nawet zbyt zimna, pomyślał. Wyprostował się. Dłoń wytarł o spodnie. Spojrzał w kierunku półwyspu. Zauważył, że ktoś stoi na końcu pomostu przy budce-przebieiralni, wysuniętej w głąb morza na kilkadziesiąt metrów. To chyba jest Franek. Pobiegł więc plażą w tamtym kierunku. Franek stał bez ruchu plecami do brzegu. Antoś dobiegając do pomostu krzyknął: – Franek, czemu te jes tu. Ma miele so spotkac doch na bôldowej łączce.

Franek odwrócił się i spojrzał w kierunku głosu dochodzącego od brzegu. Antoś, gdy zobaczył twarz Franka przystanął osłupiały. Oczy szkliste, nieobecne, otoczone brązowymi obwódkami. Usta zacięte w grymasie złości. Wyciągnął ręce z dłońmi w geście odpychającym.

– Dali nie biô – krzyknął świszczącym głosem, którego Antoś prawie nie rozpoznał. Zatrzymał się więc tuż przed pomostem.

– Jak té dôsz szret dali to mdze nieszczesci – wrzasnął niecierpliwie Franek.

Antoś zawahał się przez chwilę. Nic z tego co się działo nie rozumiał. Nigdy nie zetknął się z takim zachowaniem kolegi. Pomyślał sobie, że się wygłupia.

– Co cé so trzymają taczi szporté? – zażartował i postawił nogę na pomoście.

Franek gdy zauważył, że Antoś wszedł na pomost i idzie w jego kierunku, wskoczył nagłym ruchem do wody i pobiegł przed siebie. Antoś stanął jak wryty. Nie był w stanie dać kroku do przodu. Franek szybko oddalał się jakby go coś ciągnęło w głąb morza. Jego postać stawała się coraz mniejsza. Antoś otworzył usta. Chciał krzyczeć, ale z ust nie wydobył się żaden dźwięk. Widział jak gdzieś daleko w morzu znikła pod wodą głowa Franka.

Zrobiło się już całkiem szaro, a Antoś ciągle stał znieruchomiły na pomoście. Z letargu wyrwało go ujadanie psa na brzegu. Obejrzał się i ku swojemu zaskoczeniu zobaczył, że w oddali, kilkanaście metrów z boku ulubiony pies Franka Burek wykonywał dziwne ruchy. Wbiegał do wody, potem wracał. Stawał na brzegu. Szczekał donośnie w kierunku wody. Znowuż wpadał do wody i z niej wybiegał. I tak kilka razy. Aż w końcu usiadł na piasku z dala od wody i zaczął wyć. Pies wydawało się nie zwracał uwagi na Antosia. Antoś się go bał. Był to ostry pies, trzymany w obejściu na łańcuchu. Zauważył,

że u szyi wisi kawał postronka. Pewnie się zerwał z uwięzi. Dopiero teraz pomалу docierało do niego co tu się stało. Zszedł ostrożnie z pomostu i skierował się w przeciwną stronę, aby nie wpaść na psa. Odszedł kilka kroków i nie zatrzymując się spojrzął za siebie. Pies w dalszym ciągu się nie ruszał. Odechnął z ulgą, że pies go nie goni. Przyspieszył kroku a potem biegł ile sił. W uszach dźwięczało mu ciągle wycie psa.

= = =

W domu Franka z niedzieli na poniedziałek całą noc paliło się światło. Po pokoju nerwowo przechadzał się ojciec. Zebrało się kilku ludzi z sąsiedztwa. Rozpytywali dookoła, czy ktoś nie widział Franka gdzieś w okolicy. Pytano jego kolegów. Nikt nic nie wiedział. Teraz siedzieli przy stole i zastanawiali się dlaczego tak znikł bez śladu. Ktoś wymyślił, że pewnie pojechał do Łodzi. Wiadome było, że się latem prowadził z Dorotką. Tej wersji uczepili się rodzice i uwierzyli w to, że niebawem przyśle jakąś kartkę z Łodzi. Tylko ojcu to nie pasowało. Dlaczego Burek zerwał się z łańcucha?

= = =

Antoś w poniedziałek nie poszedł do szkoły. Leżał cały dzień w łóżku. Mówił, że go okropnie boli

głowa. Jeść też nie chciał. Matka zauważyła, że ilekroć podchodziła do niego i go zagadywała to jakby wyrwała go z głębokiego zamyślenia. Rzeczywiście, ciągle wracały obrazy z wczoraj. Przypomniawszy sobie też sumę i kazanie, kiedy Franek już był nieswój. Teraz uświadomił sobie, że Franek nie przystąpił do komunii. Dziwne. Widział go jak stał w kolejce do spowiedzi, nawet jak podchodził do konfesjonału. To dlaczego nie poszedł do komunii? A potem, co się z nim stało nad morzem. Ale czy to rzeczywiście był on? A może to wszystko jest nieprawda? Może miał jakie przewidzenia? Zresztą, gdyby cokolwiek powiedział to mu nikt i tak nie uwierzy. A poza tym będą mieli do niego pretensje dlaczego go nie uratował. Dlaczego nie wzywał pomocy? Lepiej jak nic nie powie. Gdy powziął takie postanowienie wstał z łóżka i poprosił matkę o kolację. Był już wieczór.

= = =

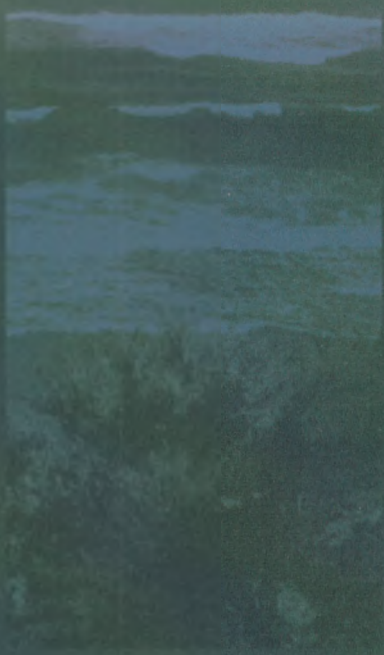
Ciało jakiegoś młodego człowieka znaleziono po kilku dniach. Morze wyrzuciło je daleko od dostępnej części brzegu. Zauważył je przez przypadek żołnierz, który patrolował odcinek wybrzeża od strażnicy WOP-u w Swarzewie w kierunku na Wielką Wieś. Zameldował o swoim odkryciu przełożonym. Wszystko co wiązało się z obroną wybrzeża utrzymywano w wielkiej tajemnicy. Mógł to być przecież jakiś

szpieg, który miał specjalne zadania. Ciekawe tylko dlaczego się utopił? Z Gdyni przyłynął specjalny kuter patrolowy. Do brzegu podpłynęło na pontonie dwóch żołnierzy. Załadowali ciało i odtransportowali na kuter. Na pokładzie przeprowadzono wstępne oględziny. Ciało było mocno nasiąknięte wodą. Twarz nalana i zniekształcona. Kieszonki ubrania były puste. Kuter ruszył w kierunku Gdyni.



EGZEMPLARZ OBOWIĄZKOWY

BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
GDAŃSK



Wydawnictwo
„Bernardinum”
Sp. z o.o

ISBN 978-83-7380-466-1



9 788373 804661